CENA 60 GR.

MÓJ PRZYJACIEL

ROK V
№ 7

PODRÓŻE
PRZYGODY
NAUKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
WARSZAWA — LIPIEC — 1928



Zakł. Graf. W. Cukrzyński, Warszawa.

MÓJ PRZYJACIEL
PODRÓŻE — PRZYGODY — NAUKA

Rok V. Warszawa, lipiec 1928 Nr. 7.

Na marginesie ekspedycji gen. Nobile.

W chwili, gdy piszemy te słowa, oczy całego świata zwrócone są na krę lodową, płynącą gdzieś hen daleko śród białej martwoty mórz polarnych. Widnieje na tej krze czerwony namiot, a koło niego pięć owiniętych w futra ludzkich postaci. Dzień i noc zmęczonym wzrokiem wpatrują się w milczące bezkresy z utęsknieniem oczekując pomocy i ratunku.

Nic więcej nie zostało po dumnym olbrzymie „Italja", który kilka tygodni temu pewny sukcesu wyruszył na podbój bieguna północnego.

Z gazet codziennych czytelnicy nasi dowiadują się o wszystkich szczegółach zakrojonej na szeroką skalę akcji ratunkowej. Znana jest również wszystkim historja tej wyprawy, jej wspaniały początek, potem długa, wywyczerpująca walka z rozpętanym żywiołem Arktyku, wreszcie przymusowe lądowanie w katastrofalnych warunkach. W artykule niniejszym omówimy wobec tego kilka kwestyj zasadniczych, dotyczących podróży polarnych wogóle, co pomoże czytelnikowi zorjentować się w sytuacji i z większem zrozumieniem rzeczy śledzić dalszy przebieg wypadków.

Otóż generał Nobile i pięciu jego współtowarzyszy znaleźli się na krze, dryfującej, według doniesień dzienników, w kierunku południowym. Sytuacja taka sama przez się nie przedstawia jeszcze wielkiego niebezpieczeństwa. Podróż na pływającej krze była już udziałem niezliczonych ekspedycyj polarnych i zwykle bardzo rzadko kończyła się katastrofą, chyba w razie braku prowjantu. Jeżeli zapasy żywności są wystarczające, podróż może trwać nawet przez czas dłuższy, jak to miało miejsce naprzykład z ekspedycją Holla z roku 1871. Wówczas załoga rozbitego okrętu przebyła na krze lodowej olbrzymią przestrzeń od 12^0 16^1 szer. półn. do Labradoru, przyczem przymusowa ta wędrówka trwała sto dziewięćdziesiąt dwa dni. Grubość kry lodowej na tak wysokich szerokościach zabezpiecza ją od pęknięcia i rozkruszenia się; możliwość zaś dopłynięcia kry, na której się znajdował generał Nobile do umiarkowanych szerokości, gdzie lód zaczyna topnieć, była oczywiście wykluczona.

Dzięki pomocy dzielnego lotnika Maddaleny, Nobile zaopatrzony został w produkty, akumulatory do radjo, broń dla obrony przed białemi niedźwiedziami oraz łodzie gumowe. Od tej chwili zaczęły się zmniejszać obawy o los rozbitków, wiemy bowiem, że z podobnym ekwipunkiem poprzedni podróżnicy spędzali

lata całe śród pól lodowych i powracali szczęśliwie. W danym zaś wypadku chodziło oczywiście nie o lata, lecz o kilka dni, najwyżej tygodni. Ale, jeżeli życiu Nobilego i współtowarzyszy nie zagrażało bezpośrednie niebezpieczeństwo, nie rozstrzygało to jeszcze innej, trudniejszej kwestji — wydostania się rozbitków z ich pływającego więzienia.

Według lotnika Maddaleny lądowanie samolotu na krze, gdzie się znajduje gen. Nobile, było niemożliwe. Nawet gdyby lądowanie się udało, start powrotny byłby ogromnie utrudniony, brakowało bowiem miejsca na trasę rozpędową. Wobec tego Maddalena radził zrazu zaczekać na przybycie łamacza lodów. Byłby to sposób może pewny ale związany z wielką stratą czasu. Przecież nawet tak potężny łamacz lodów jak „Małygin“, który wyruszył z Aleksandrowska na pomoc Nobilemu, został odrazu wstrzymany przez zwarte pola lodowe i stracił piętnaście godzin aby utorować sobie drogę na północ. Nie ulega wątpliwości, że podobne pola lodowe będzie spotykał jeszcze niejednokrotnie.

Ale bądź co bądź, byliśmy dokładnie poinformowani co do sytuacji generała Nobile; istniała możność dostarczenia mu wszystkich niezbędnych zapasów i instrumentów; podtrzymywano z nim stałą łączność zapomocą radja. W razie gdyby lądowanie samolotu na krze okazało się naprawdę niemożliwe, pozostawała zawsze możność dopłynięcia na łodziach gumowych do najbliższego pola lodowego o większych rozmiarach i ratowania się drogą napowietrzną. Jak wiemy obecnie, akcja ratunkowa rozwinęła się właśnie w tym kierunku, i gen. Nobile został uratowany przez samolot. Nie stwierdziły się na szczęście przypuszczenia pesymistów, którzy twierdzili, że należy się liczyć z najgorszemi ewentualnościami, których, jak uczy doświadczenie podróży polarnych, nie można nawet przewidzieć.

Ale tem większe obawy wzbudzał los Amundsena, o którym przez dłuższy czas nie posiadaliśmy żadnych wiadomości. Nieustraszony rycerz północy wyruszył na pomoc Nobilemu na samolocie, w towarzystwie lotnika, i odtąd wszelki ślad po nim zaginął. Nie ulega wątpliwości, że samolot musiał opuścić się na polu lodowem z powodu jakiegokolwiek defektu maszyny. W przymusowem lądowaniu tkwi zawsze wielkie niebezpieczeństwo. Cóż dopiero mówić o lądowaniu na nierównej powierzchni pola lodowego, poprzecinanej szczelinami, najeżonej zwałami brył lodowych? W takich warunkach aparat ulec może nie uszkodzeniu lecz kompletnemu rozbiciu. Brak wiadomości radjowych od Amundsena zdawał się przemawiać raczej za tem drugiem przypuszczeniem. Prócz tego, ratując rozbitków ekspedycji Nobilego, Amundsen miał na samolocie zapasy, potrzebne dla nich, ale czy miał rzeczy niezbędne dla siebie?

Sytuacja przedstawiałaby się fatalnie, gdyby chodziło o zwykłego podróżnika. W danym wypadku jednak do śmiertelnych zapasów z żywiołem wystąpił sam Amundsen, powtórzmy lepiej za innymi „sam wielki Amundsen“. Zupełnie słusznie bowiem nadano szczytny przydomek „Wielkiego“ zwycięzcy obydwóch biegunów, nieustraszonemu badaczowi tajemnic martwych ziem polarnych. Mroźne podmuchy Oceanu Lodowatego, olbrzymie góry lodowe, stada białych niedźwiedzi, napadające podróżników, fantastycznie piękne zorze północne, — cała ta egzotyka krajów podbiegunowych jest dla Amundsena czemś bliskiem i znanem, rodzimym jego żywiołem, do którego się przyzwyczaił od lat młodzieńczych. Niejednokrotnie również dowodził nam Amundsen, że najhazardowniejszą grę ze Śmiercią potrafi on rozstrzygnąć, rzucając na szalę zwycięstwa swój twardy hart i niezrównaną odwagę potomka Wikingów. Nie zaglądając w przyszłość, nie bawiąc się w niedorzeczne hipotezy, damy na tem miejscu wyraz naszej nadziei, że i tym razem ze śmiertelnej walki z losem zwycięsko wyjdzie ten człowiek, odlany ze stali najhartowniejszej.

G. E. STUART-REID.

Goryl z Ubangi.

Czy małpa może mieć uczucia ludzkie? Czy murzyni w Afryce Centralnej nie mają trochę racji, nazywając olbrzymie goryle — „leśnymi ludźmi"? Opowiadanie niniejsze, opisane przez jednego z najbardziej znanych podróżników i badaczy angielskich, skłania nas do dania odpowiedzi twierdzącej.

W roku 1927 przybyłem celem załatwienia niektórych spraw handlowych do Bengaso, miejscowości położonej w Kongo francuskiem. W klubie miejscowym usłyszałem ciekawe opowiadanie o pewnym gorylu, który odznaczał się niezwykłą inteligencją, przypisywaną dotąd jedynie człowiekowi. O wszelkich szczegółach, dotyczących tego „kuzyna" człowieczego, dowiedział się mój interlokutor od pewnego tubylca, który tego samego dnia przybył do miasta. Według jego opowiadania goryl ów, mszcząc śmierć swej samicy, uśmiercił już wielu ludzi. Tu zaznaczyć należy, iż samica została w swoim czasie zabita przez murzynów szczepu afrykańskiego, zwanego Ubangi.

Tuziemcy opisali szczegółowo groźnego mściciela: mierzył przeszło sześć stóp i odznaczał się straszną siłą i okrucieństwem. W czasie, kiedy tubylec uciekł ze swej wioski rodzinnej, by szukać ratunku przed gorylem, ten zdążył już pozbawić życia dziesięć osób z pośród tych, którzy brali udział w polowaniu na samicę.

O gorylach w Tanganajce, wpobliżu gór Makeno, słyszałem jeszcze dawniej. Nie wyobrażałem sobie jednak, aby zawędrowały one tak daleko na północ, aż pod Bengaso. Okoliczność ta pobudziła bardzo moją ciekawość. Na moją prośbę zaproszono do klubu przybyłego krajowca. Był to przystojny młodzieniec dużego wzrostu. Powtórzył mi całą historję o gorylu, nie zatajając najmniejszego szczegółu. Po wysłuchaniu jego nieco nieprawdopodobnej narracji postanowiłem zbadać rzecz osobiście. Na szczęście rozporządzałem wówczas wolnym czasem i zacząłem odrazu czynić przygotowania do podróży do kraju Ubangi. Wynająłem tragarzy do przeniesienia mych bagaży i strzelb, przyczem kierownictwo powierzyłem pewnemu sierżantowi pochodzenia tubylczego.

Pewnego pięknego poranka lipcowego wyruszyłem z taborem do kraju Ubangi. Ubi, tak zwał się nasz przewodnik, stał na wysokości zadania. Po dziesięciu dniach dreptania po ścieżkach, gdzie natrafialiśmy jedynie na ślady zwierzyny, oraz mocowania się z gąszczami leśnemi, przewodnik oświadczył, że jeszcze jeden marsz, a staniemy w jego wiosce rodzinnej. Jak dotąd nie udało mi się jeszcze znaleźć śladów goryli, aczkolwiek w ciągu tych dni dziesięciu, zdążyłem widzieć i słyszeć niemało innych zwierząt, zwłaszcza w porze nocnej.

Bawiąc w roku ubiegłym nad jeziorem Edwarda w Ugandzie i innych miejscowościach, dużo się nasłuchałem o gorylach, ale dotychczas ani razu nie spotkałem się oko w oko z tem zwierzęciem. Pałałem przeto niecierpliwością, aby raz wreszcie sprawdzić wiarogodność licznych opowiadań myśliwych o podziwu godnej przemyślności i prawie ludzkiej inteligencji „leśnych ludzi".

Uciążliwa podróż zajęła nam przeszło dziesięć dni. Jedenastego dnia

po południu dotarliśmy wreszcie do obszernej polany. Oczom naszym ukazała się wioska tubylcza, która zresztą niczem nie różniła się od innych osiedli w tej części Afryki. Niewielkie chaty kształtu ulów z palonej gliny, okryte liśćmi palmowemi, przeplatanemi bambusem i trzciną, tworzyły zamknięte koło. Pośrodku stała większa nieco chata, „pałac" naczelnika plemienia.

Granice polany ginęły hen daleko w puszczy. Jakieś martwe milczenie panowało wokoło. Nie było widać żywej duszy, nawet tak częstych w Afry e kóz i ptaków nie można było zauważyć. Jedyną istotą żywą zdawał się być olbrzym-tuziemiec, uzbrojony w włócznię, stojący na warcie.

Podczas gdy nie bez wysiłku starałem się przyzwyczaić oczy do oślepiającego blasku słonecznego — po jedenastu dniach mroku leśnego — uwagę moją przykuło jakieś przeciągłe głuche jęczenie. Zdawało się, że to jęczy jakieś zwierzę olbrzymie, wijąc się w bólu śmiertelnym. Jednocześnie słychać było hałas, jakby bicia w bęben.

— To goryl... — rzekł Ubi, oglądając się z przestrachem. — Dzień cały jęczy i bije się w piersi z tęsknoty za swą zmarłą towarzyszką. Nocą włóczy się wokoło wsi, czasem pełza po ziemi, ale przeważnie skacze po wysokich gałęziach.

Ubi przerwał opowiadanie, a kiedy znów zaczął mówić, w głosie jego słychać było łzy przerażenia.

— Co noc, lub co drugą noc, ginie człowiek, — mówił żałośnie Ubi. — Znajdują go później rozszarpanego w kawałki! Każdy zaś w ten sposób uśmiercony, był członkiem owej grupy myśliwych, którzy zabili samicę.

— Czy i ty do tej grupy należałeś?

Pomimo doskwierającego upału zęby chłopca dzwoniły jak w febrze, kiedy odpowiedział:

— Tak, kapitanie. Jest to wszak partja myśliwska naszego naczelnika, a ja jestem dowódcą jego straży przybocznej. Ma do mnie pełne zaufanie, jako do syna swego ulubionego brata.

Ubi zbliżył się do strażnika stojącego przy bramie i szepnął mu kilka słów. Murzyn spojrzał na mnie przenikliwemi oczyma w których przebijały nadzieja i ufność zarazem. Podniósł swój oszczep nad głową na znak przywitania kiedy przekraczałem bramę.

Ubi zaprowadził mnie do małej chaty, położonej niedaleko domku naczelnika. Moi tragarze ulokowali się w trzech innych chatach. Przewodnik udał się do naczelnika, aby go zawiadomić o mojem przybyciu. Zakomunikował mi przedtem, że wódz plemienia, zwący się Obaana, aczkolwiek już starzec przeszło siedemdziesięcioletni, przyjmuje pomimo różnych niedomagań czynny udział w polowaniach nawet w dość wielkiej odległości od wioski.

Kiedy się umyłem i zmieniłem ubranie, opuściłem chatę, aby się spotkać z Obaaną. Zgromadziło się całe plemię. Wszystkie spojrzenia skierowane były na mnie. Pod moim adresem posypał grad okrzyków: „Biały Ojciec", „Wielki Strzelec", „Zabójca słoni" i inne w tym rodzaju. Do tych pochlebnych tytułów nie miałem, właściwie mówiąc, najmniejszego prawa. Najbardziej niebezpiecznem zwierzęciem, które udało mi się dotychczas zgładzić, był nosorożec, którego położyłem przypadkowo trafnym strzałem. Miało to miejsce pewnej nocy w Kongo belgijskiem, wpobliżu linji kolejowej koło Sakanji.

Podczas gdy mieszkańcy wciąż jeszcze wydawali okrzyki, podziwiając mą rzekomą waleczność, odsunęła się mata, osłaniająca drzwi, które prowadziły do chaty naczelnika. Za chwilę „król" stanął przede mną we własnej osobie. Przyglądał mi się całą minutę, poczem przemówił cienkim, drżącym głosem:

— Ach, biały naczelniku, — rzekł, witając mnie jednocześnie głębokim ukłonem. — Witaj nam na naszej ziemi! Potrójne należy ci się pozdrowienie, jeśli zdołasz uwolnić mnie i mój lud od djabła w postaci owej wielkiej małpy, która zgładziła takie mnóstwo ludzi, mszcząc śmierć samicy.

—Witam cię i dziękuję za pozdrowienie, naczelniku Obaana, — odrzekłem. — Ubi wspomniał mi o okropnych nieszczęściach, jakie nawiedziły waszą wieś, wasz lud. Uczynię wszystko, co będę mógł, aby uwolnić was od tej wielkiej małpy.

Obaana zaofiarował mi do pomocy kilku swych myśliwych. Z pomocy tej jednakże nie chciałem skorzystać, postanowiwszy polować na goryla jedynie w towarzystwie sierżanta Bollo. Dzisiaj było już za późno, aby wyruszyć go lasu, gdyż słońce stało nisko, a w tej części Afryki niema szarej godziny, lecz noc zapada nagle. Postanowiłem przeto wyruszyć nazajutrz zaraz o świcie i udałem się na spoczynek o dziewiątej wieczorem. Przy drzwiach postawiłem jednego z moich tragarzy, uzbrojonego w karabin Martiniego i rozkazałem mu obudzić mnie niezwłocznie, gdyby usłyszał coś, coby świadczyć mogło o bliskości goryla, którego jęki zresztą ustały od czasu jak słońce zaszło. Szyldwacha miał zastąpić inny o jedenastej wieczorem; wogóle, co dwie godziny miała się zmieniać warta aż do świtu.



W snopie promieni ujrzałem olbrzymiego goryla...

Zmęczony uciążliwym marszem dnia ostatniego, zasnąłem prawie natychmiast jak tylko oparłem głowę o poduszkę. Nagle przebudziłem się. Miałem niesamowite uczucie, że coś strasznego spoziera na mnie z mroku. Leżałem zupełnie cicho, skupiając myśli. Wtem poczułem uderzający fetor zwierzęcy, który zdawał się rozprzestrzeniać po chacie. Było zbyt ciemno, aby można było rozróżnić przedmioty. Miałem jednak wrażenie, że w miejscu, w którem winny znajdować się drzwi, porusza się jakiś cień. Podświadomie prawie namacałem rewolwer. Trzymałem go w pogotowiu. Następnie, zachowując względny spokój, wziąłem do ręki lampkę elektryczną. Skierowawszy ją na ciemną plamę cienia, nacisnąłem guzik. Ku memu przerażeniu ujrzałem w blasku lampy postać olbrzymiego goryla, jakiego nigdy nawet wyobrazić sobie nie mogłem!

Mierzył on dobre sześć stóp, a może i więcej. Dosięgał prawie pułapu. Jedną ogromną łapą uchwycił się środkowego pala chaty, w drugiej trzymał zgięty w pałąk karabin mego szyldwacha! W mgnieniu oka zorjentowałem się, iż strzelać z rewolweru do tej ogromnej masy mięsa i muskułów byłoby bezcelowe. Pozostawało mi jedynie leżeć nieruchomo ze wzrokiem wlepionym w błyszczące ślepia i potwornie połyskujące kły olbrzymiej bestji.

Widocznie goryl był oślepiony blaskiem lampy, gdyż stał, mrugając głupkowato oczyma i usiłując odpędzić światło ręką, w której trzymał zgięty karabin.

Wtem wydało mi się, że słyszę jakieś dziwne sapanie. Było to głębokie westchnienie goryla, który znikł, porzuciwszy bezużyteczny karabin. Niezwłocznie wyskoczyłem z łóżka i, schwyciwszy dubeltówkę, wyszedłem na dwór. Przy świetle lampki przeszukałem bliższą okolicę, skierowałem snop promieni nawet na gałęzie wielkich drzew, ale najmniejszego śladu mego gościa dojrzeć nie mogłem.

Znikł również mój szyldwach Makuloo. Spojrzałem na zegarek: było już po dziesiątej. Przespałem więc raptem jakąś godzinę, kiedy mnie zbudziła wielka małpa. Wybiłem się ze snu, zapaliłem więc lampę i zabrałem się do czytania, oczekując zmiany warty o godzinie jedenastej. Postanowiłem dobrze zbesztać Makuloo za nieobudzenie mnie, kiedy goryl się zjawił, jak również za opuszczenie posterunku i zgubienie karabinu.

O jedenastej nastąpiła zmiana warty. Opowiedziałem wartownikowi o zlekceważeniu swych obowiązków przez poprzednika i doradzałem mu, by był bardziej czujny.

Zamierzałem szukać śladów goryla po wschodzie słońca, o jakiejś czwartej nad ranem, należało przeto nieco wypocząć. Słyszałem jak warty się zmieniały o pierwszej, trzeciej i wpół do czwartej. Wstałem, ubrałem się i zarzuciłem na ramię karabin oraz dubeltówkę, naładowaną grubym śrutem, który w odległości kilkudziesięciu metrów działa jak kula karabinowa. O czwartej nad ranem słońce podniosło się już nad ogrodzeniem. Do chaty wszedł sierżant Bollo, uzbrojony jak zwykle w karabin systemu Martiniego i olbrzymią pałkę z twardego drzewa.

Sędziwy naczelnik również wyszedł ze swej chaty, aby mi życzyć powodzenia, podczas gdy cała ludność wioski w liczbie około 400 murzynów, —mężczyzn, kobiet i dzieci, — zebrała się przy głównej bramie, by asystować przy naszym wymarszu. Był cudowny sierpniowy poranek, chociaż termometr „o tej“ chłodnej porze roku wskazywał 100° ciepła podług Fahrenheita. Wyobrażam sobie, jaka jest tu temperatura w gorącej porze roku... w południe!

Chodząc ścieżkami wśród krzaków, podziwialiśmy olbrzymy leśne, których wierzchołki wznosiły się pod obłoki. Mirjady ptaków o wspaniałem upierzeniu migały przed oczami jak żywe klejnoty, przelatując z gałęzi na gałąź. Małpy skakały całemi stadami z drzewa na drzewo, skrzecząc pod naszym adresem jakieś pogróżki, przestraszone i niezadowolone, żeśmy im przeszkodzili w ich rannych zabawach i figlach. Ubi wskazał mi kierunek do miejsca gdzie leżały zwłoki samicy goryla i wyjaśnił, że stamtąd właśnie dochodziły krzyki samca, którego ślady będę musiał teraz wyszukać.

Już półtora kilometra przedtem, wraz z lekkim porannym wietrzykiem zaleciał mnie jakiś nieprzyjemny odór i jednocześnie doszły mych uszu czyjeś jęki, połączne ze szlochaniem, przerywanem od czasu do czasu szybkiem skrzeczeniem. Rozkazałem sierżantowi zatrzymać się i zacząłem się skradać z karabinem w ręku możliwie najciszej w kierunku dźwięków. Znalazłem się na skraju niewielkiej polany. Las był tu przerzedzony na przestrzeni mniej więcej ćwierci akra. Widok, który się przedstawił moim oczom, był naprawdę niezwykły!

(Dokończenie nastąpi).

NA KSIĘŻYC!...

CZY PODRÓŻE MIĘDZYPLANETARNE SĄ MOŻLIWE JUŻ W BLISKIEJ PRZYSZŁOŚCI?

W ciemnej ponurej celi więziennej, obok stołu zastawionego retortami i przyrządami o dziwacznych kształtach, siedzi sędziwy człowiek i iskrzącym z ciekawości i żądzy wzrokiem spogląda na tygiel, w którym warzy się tajemnicza ciecz. To alchemik, poszukiwacz kamienia filozoficznego, to pionier tej gałęzi nauki, której na imię chemja. Pierwotne i nieudolne próby przeróbki metali nieszlachetnych w szlachetne, miedzi w złoto, doprowadziły w rezultacie do rozkwitu jednej z najpoważniejszych gałęzi wiedzy ludzkiej.

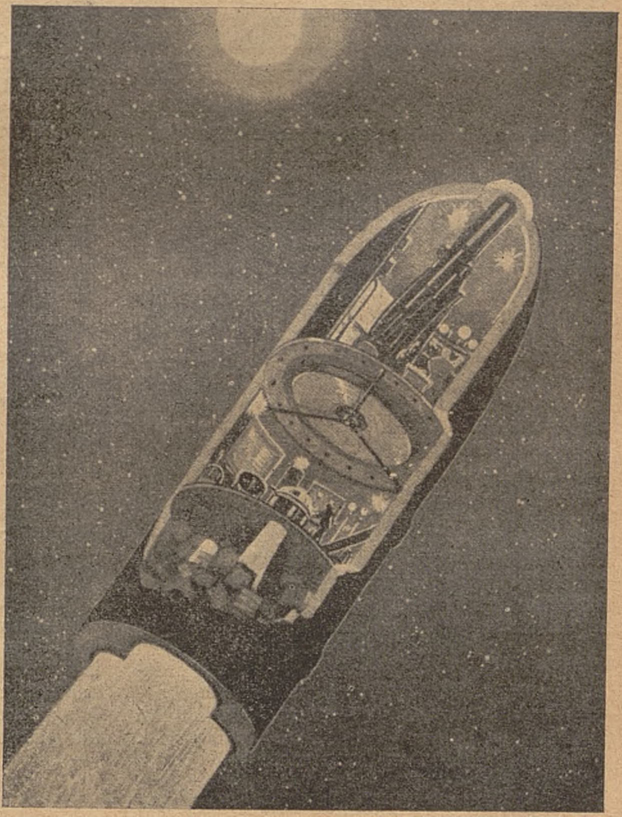
Minęły jednak bezpowrotnie czasy ślepego szukania w ciemności, dziś człowiek bogaty w doświadczenie poprzedników umie świadomie dążyć do prawdy i szukać nowych dróg dla swej kulturalnej działalności. To, co jeszcze niedawno było tworem wybujałej fantazji powieściopisarzy, obleka się w rzeczywistość, a wkrótce, być może, stanie się własnością ludzkości, gdyż niema, jak powiedział Juljusz Verne takiego pomysłu, zrodzonego w umyśle ludzkim, któregoby inny człowiek prędzej czy później nie zrealizował.

Tęsknota człowieka za nieznanem, chęć poznania przyczyny prarzeczy, stały się bodźcem do szukania sposobów komunikacji z planetemi, które stanowiły dlań niezgłębioną a wiecznie nęcącą do rozwiązania zagadkę.

Powstaje więc nowa nauka — astronautyka.

Zastanówmy się nad urzeczywistnieniem szalonego projektu podróży na księżyc, tę najbliższą nas, bo tylko o 384000 km. odległą planetę, i rozważmy pokrótce wszystkie jej możliwości. O nierealności pocisku armatniego Verne'a zawierającego przyrządy miernicze i ludzi, mówiliśmy już w swoim czasie, nie zabezpiecza on bowiem podróżnych od niebezpiecznych wstrząsów w chwili wybuchu i od katastrofy, jakaby ten pocisk spotkała przy zetknięciu z powierzchnią księżyca. Z tego już widać, że należy skonstruować motor, którby mógł stopniowo powiększać szybkość, a w chwili „lądowania" hamować swój bieg.

Motorem takim jest rakieta porusza się ona na podobieństwo działa armatnjego, stojącego na łodzie: gwałtowny wybuch gazów i wyrzut pocisku powodują ruch wsteczny niczem (pomijając niewielkie tarcie) prawie nieskrępowany. Projekt podobnej rakiety podał już w roku 1881 ro-



Tak ma wyglądać okręt międzyplanetarny, który wyruszy na podbój przestworzy.

syjski chemik Kilbaczyc, a później K. Ciołkowski, również Rosjanin. Rakieta ta (patrz rycinę) posiadałaby szereg komór mieszczących obserwatorów, zapasy materjałów wybuchowych oraz prowiant. Ujścia dla gazów, powstałych wskutek zużycia paliwa, mogłyby zmieniać kierunek według życzenia międzyplanetarnych podróżników i tem samem zmieniać kierunek ruchu rakiety.

Pasażerowie mogą, według pro;ek u, regulować częstość wybuchów i powodować zmianę szybkości statku-pocisku. W ten sposób unikną oni niebezpieczeństwa zmiażdżenia się o ściany w chwili „startu", a stopniowo powiększając częstość wybuchów zwiększą szybkość do pożądanej wielkości. Specjalny hamulec, zbudowany z rak et „strzelających" w kierunku lotu pozwoli obserwatorom zahamować bieg w dostatecznej odległości od powierzchni planety.

Najnowsze jednak badania profesora amerykańskiego Goddarda z Princetown okazują, że dla przeniesienia tylko jedn go kg. prochu magnezjowego należy użyć w drodze z ziemi na księżyc około 800 kg. paliwa. Proch ten, umieszczony w specjalnej próbnej rakiecie, zawiadomiłby swym jaskrawym wybuchem miesz.ańców ziemi o przybyciu na księżyc.

Interesujące prace Goddarda, jego liczne, acz przy pomocy kromnych jedynie środków pro adzone doś iadczenia, pozwoliły mu skonstr ować rakietę, wykorzystującą około 65 procent energji spalonych gaz w, co w porównaniu z 2 procent dotychczas osiągniętemi, stanowi ogromny kro : naprzód.

Zagadnienie wagi paliwa, a tem samem rozmiarów międzyplan tarnych statków staj się jedną z najpoważniejszych prz szkód w urze zywistnieniu planu. Wiąże ię ona przytem, jak to za chwilę zobaczymy, z szybkością, a właściwie z przyrostem szybkości poc sk .

Pocisk, wędrujący w atmosferze ziemskiej, powinien posiadać pewną szybkość maksymalną, której przekroczyć mu nie wolno. T rcie bowiem ścianek przednich o powietrze wytwarza olbrzymią wprost temperaturę, przyczem, jak uczy doświadczenie, rozrzedzenie w górnych warstwach atmosfery nie wpływa prawie zupełnie na hamowanie tego wzrostu. Przy szybkości 2 km. na 1 sek. ogrzanie powietrza wyno i 159°, powyżej 8 km/sek. około 7ö4°. A przecież ta a szybkość j st potrzebna, aby pocisk wydobył się ze sfery przyciągania ziemi i dostał na pole grawitacyjne księżyca. Ob erwacje, czynione nad gwiazdami spadającemi, okazały że zaczynają one świecić na wysokości 120 km. Na wysokości 200 km. ciepło, pobr ne podczas tarcia, zostałoby jednocześ ie wypromieniowane i równowaga termiczna nie byłaby zamącona.

Jest to niezmiernie ważną wskazówką. Rakieta nie powinna osią nąć największej swej szybkości niżej 200 km.

Według dokładnych badań rakieta o kształcie stożkowym jest najodpowiedniejsza, gdyż swą szybkość maksymalną osiąga dopiero na wysokości 1800 km. Po przezwyciężeniu tej trudności pozostaje więc rozstrzygni cie wyboru względnie wynalezienie takiego paliwa, któr by pozwoliło, przy niewielkim stosunkowo ciężarze, na osiągnięcie krytycznej (przeszło 8 klm.) szybkości. Zastępując mieszaninę wybuchową Goddarda o 1238 jednostkach cieplnych (kaloryj) na 1 kg. przez kompo ycję tlenu i wodoru, dałoby się osiągnąć według Esnault-Pelterie 3860 kaloryj, lecz pocisk musiałby się posuwać z przyśpieszeniem pięciokrotnie przewyższającem przyśpieszenie ziemi ($g = 9,81$ m/sek²).

Niebezpieczeń two spalenia się (nie wychodząc jeszcze ze sfery 200 km.) pozostaje więc nadal groź e.

Badania najnowsze Langumira doprowadziły do zużytkowania wodor in statu nascendi, co pozwoliłoby na osiągnięcie 30000 kaloryj na 1 kg. gazu. Niestety temperatura wywiązana podczas spalania gazu wyniosłaby 9900°. A niema przecież takiego ciała, któreby podobną temperaturę wytrzymać mogło. Teoretycznie 10 kg. tego gazu wystarcza do przen esienia 1 kg. wagi z ziemi na księżyc.

Niestety między teorją a doświadczeniem i praktyką istnieje jeszcze teren przeszkód i rozczarowań...

Reasumując wywody nasze, dojdziemy do wniosku, iż, chociaż zdajemy sobie sprawę ze wszystkich prawi trudności i posiadamy wszelkie środki teoretyczne, umożliwiające nam urzeczywistnienie projektu, to jednak brak odpowiednich ogniotrwałych materjałów stanowi dla nas nieprzezwyciężoną jeszcze przeszkodę.

Czyż należy więc opuścić bezradnie ręce i zrezygnować z najskrytsz go marzenia ludzkości? Bynajmniej. Najpiękniejsze bowiem zagadnienia są te, które, wychodząc ze sfery chwilowej możliwości, otwierają przed nami najrozleglejsze horyzonty.

Badania odległych od nas warstw atmosfery, stwierdzenie ich właściwości fizycznych i wpływów na nasze życie, oto najbliższe cele, które, być może, w bliższej przyszłości skuszą człowieka do wypuszczenia próbnej rakiety w bezkresną dal.

B. Petersilie.

ARTUR B. REEVE.

Wampir przestworzy.

*NOWELA FANTASTYCZNO-NAUKOWA.**

— A możebyś pan skomun kował się w t j sprawie z „Biule'ynem W.adomo :ci Codziennych". Wówczas nowin ta przedostałaby się d wszystkich p.sm. Uważam za bezcelowe p sać list do Lamara, chociaż otrzymałem jeg adres. Być może, Lamar wog le nie odbiera poczty, ale g zetę na pewno przejrzy. Napisz notatkę, jako wywiad z Nortonem. Już ja się o to postaram, aby wszystko było w porządku, i autentyczność wywiadu nie została zakwest onowana. Norton na pewno potwierdzi in erview, s oro go tylko wtajemnicz w swój plan!

Połączyłem się ze „Starem" jeszcze przed oddaniem wieczo ne o numeru do druku. Również pisma nocne podały mą notatkę, któr naza utrz przedrukow na została we wszystkich gazetach poranny h.

Norton przepędził noc w szpitalu. Kierown ctwo zaś robót w hangarze, w którym umieszczony został uszkodzony aeroplan, objął Kennedy. Wszyscy trzej lotnicy Nortona ogarnięci byli wielkim niepokojem. Humphreys gdzieś się zapodział, obaj zaś pozostali monterzy zjawi i się, widocznie, jedynie z tego powodu, że jeszcze nie zdążyli odebrać całkowitej pensji.

Kennedy wystawił czeki na należne im sumy na późniejsze jednak terminy, aby zaraz nie odesz.i. Odtąd przed nimi więcej się nie maskował. Występował oficjalnie jako pełnomocnik Nortona i kierował pracą nad doprowadzeniem aparatu do p rządku. Poł mane było tylko podwozie aparatu, zasadnicze części pozostały nienaruszone. Co się tyczy giroskopu, to znalazł się inny zapasowy; sprowadzono również inną dynamomaszynę. Zamiana wszystkich częś i u-zkodzonych nie przedstawiała wo ec tego wielkich trudnoś i.

— A więc — rzyknął wes ło Kennedy, kiedy główna praca była już skoń zona — omu w drogę, temu czas! Panie Sincl ir, mam nadzieję, że pudło aparatu zdążymy wykończyć jutro z rana!

Po zamknięciu han aru pośpieszyliśmy na dw rzec. Do Nowego Jorku przybyliśmy o późn j godzinie. Kennedy post nowił pójść do swego laboratorjum, a ja udałem się do redakcji „Staru", aby się upewnić że notatka ukaże s ę w wydaniu porannem. Nazajutrz z rana zostałem zbudzony przez Kennedy'ego, który zabrał ze sobą do samochodu jakiś wielki, starannie owinięty pakiet.

— Sporządziłem to zeszłej nocy — objaśnił mnie Kennedy, wskazu ąc na paczkę.

— O ile to nie rozwiąże zagadki, skwituję z całej jej historji.

Byłem bardzo za iekawiony, ale nie zad wałem żadny h pytań. Uczyn łem mu natomiast zarzut, że spał zbyt m ło. Kennedy uśmiechnął s ę.

— G łyb m nawet nie pracował w nocy —zauważył we oło, — to również nie mógłbym oka mrużyć.

Kiedyśmy przyby i na lotnisko, zastaliśmy już tam Nortona. Głowę miał obandażowaną. Był bardzo blady. Jaure te zachowywał się nie o apatyczni , dru i zaś mechanik, Sinklair, bad ł skrupulatnie wszystkie części mechan zmu.

Kennedy szeptem rozmawiał z Nortonem, wtajemniczaj c go w swój plan.

— Jeśl m pana dobrze zrozumiał, — odrzekł Nort n, — mam dyna omaszynę i bat rję osłonić przyniesioną przez pana aluminjową pokrywą. N stępnie w inieniem zdjąć po rywę, rozmontować giroskop i bez tego ostatniego przedsięwziąć lot. Czy tak?

— Tak, — potwierdził Kennedy. — Umieszczę się na dachu którejś z większych trybun i dam panu w odpowiedn m momenci znak, p wiewając trzykrotnie chustką.

Załatwiwszy się prędko ze śni dani m, udaliśmy się na nasz pu kt obserwacyjny. Po drodz Kennedy zamienił kilka zdań z naczelnikiem wydziału śledczego, zaangażowanym przez zarząd lotniska na czas seansów lotniczych. Wstąpił również do kabinki radjotelegr fi ty, prosząc go o niezwłoczne powiadomienie w razie powtórzenia się tajem i zych figlów.

Znalazłszy się na dachu, Kennedy wyc ągnął z kieszeni mały instrument, zaopatrzony we wskazówkę, obracającą się na tarczy.

—Radjotelegraf sta nastawił swój aparat w kierunku aeroplanu, aby się połącz ć z Williamsem, — wyjaśniał Kennedy, wskazując na instrument. — To jest przyrząd, zwany miernikiem fal. Wskazuje o kierunek, a poczęści dlugość fal radjowych.

* Dokończenie. Patrz Nr. poprz. „M. Przyjaciela".

Norton, który ze swą obandażowaną głową był bohaterem dnia, szykował się do lotu około dziesięciu minut. Przez lunetę polową mogłem obserwować, jak się krzątał koło dynamomaszyny i giroskopu, nie zdołałem jednak dostrzec szczegółów.

Samolot poruszył się, jakby lada chwila miał już wzbić się w powietrze. Tłumy widzów na trybunach zamarły w nerwowem napięciu. Wreszcie Norton wystartował. Zaledwie jednak aparat zdążył oderwać się od ziemi i podnieść na wysokość kilku metrów, Kennedy schwycił mnie za ramię:

— Spójrz pan—zawołał,— co się dzieje ze wskazówką!? Już dobiega 180 stopni... Prędzej, sprawdźmy kierunek!

Strzałka wskazywała wprost na zapadłą szopę.

Cóżby to miało znaczyć? Czyż przeznaczone jest Nortonowi znów spaść, tym razem może już z wynikiem śmiertelnym? Czemu Kennedy nie zapobiegł obecnej próbie Nortona, jeśli istniała chociażby najmniejsza obawa przed tajemniczem, a więc tem groźniejszem niebezpieczeństwem w przestworzu? Odwróciłem się szybko, aby zobaczyć, czy lot odbywa się normalnie. Norton szybował już wysoko w powietrzu i robił swoje sztuki, wznosząc się coraz wyżej. Teraz wydaje się, że stanął bez ruchu... Rzeczywiście, samolot tkwił w jednym punkcie. Motor był wyłączony, śmigło nieczynne. Aparat sprawiał wrażenie okrętu na falach oceanu.

Na schodach rozległy się kroki i po chwili ch opiec podał Kennedy'emu ukartkę. Była tam krótka wiadomość od radjotelegrafisty; „Mój aparat znów nie pracuje".

Rzuciłem Kennedy'emu porozumiewawcze spojrzenie, ale ten był zajęty jedynie Nortonem, spoglądając od czasu do czasu na zegarek, który trzymał w ręku.

— Walterze, — rzekł wreszcie, chowając zegarek do kieszeni, — minęło już siedem minut i trzydzieści sekund od czasu, jak Norton zatrzymał motor. Sto ownie do warunków konkursu wystarczy pięć minut. Norton osiągnął dodatkowe dwie i pół minuty, a więc zwyciężył bezwzględnie.

Kennedy zrobił umówiony znak chustką. Norton widocznie ten znak zauważył, gdyż aparat nagle się poruszył. Śmigło zaczęło się obracać. Zwolna zniżał się aeroplan po linji ślimakowej. Wreszcie Norton wyłączył znów motor i wylądował wpobliżu hangaru.

Rozległy się ogłuszające oklaski licznie zebranej publiczności.

Po chwili Norton znów wzbił się w górę. Kiedy samolot przelatywał ponad trybuną, Kennedy spojrzał na miernik fal i zbiegł szybko ze schodów. Z miejsca ruszyłem za nim. Wkrótce Kennedy przedarł się przez tłum i podążył ku wyjściu. Po drodze spotkaliśmy wywiadowców wydziału śledczego, którzy nas widocznie oczekiwali.

— Prędzej! — krzyknął Kennedy.

We czterech podążaliśmy za nim. Kennedy umyślnie zakreślił wielki łuk, dzięki czemu dotarliśmy niepostrzeżenie do żółtego domu.

— A teraz cicho — rozkazał Kennedy.

Znaleźliśmy się w wierzejach szopy. Słychać było wewnątrz dziwny szum, któremu towarzyszył ustawiczny trzask. Kennedy usiłował otworzyć drzwi. Były zaryglowane od wewnątrz. Połączonemi siłami jednak wyważyliśmy je z zawiasów.

Na hałas nadbiegł właściciel domu, który pracował w ogródku. Wiedział widocznie o co chodzi, gdyż nie zastanawiając się ani chwili rzucił się wdół po schodach prowadzących do suteryny. Podążyliśmy za nim.

Oślepiła nas nagle biała,, żarząca się falisto-zygzakowata wstęga. Była to iskra o długości co najmniej siedmiu metrów — sztuczna błyskawica. W półmroku, zalegającym kąty suteryny ujrzeliśmy gospodarza, który mocował się z jakimś wysokim, chudym młodzieńcem.

— Lamar! — krzyknął Kennedy, skierowawszy nań rewolwer, — jeszcze jeden ruch, a położę cię trupem. Pozostać na miejscu! Jesteś schwytany na gorącym uczynku.

Dwu silnych wywiadowców rzuciło się naprzód i prędzej niż to można opisać, został Lamar wyprowadzony z szopy z zawiązanemi rękoma. Gdyśmy tak stali, usiłując zrozumieć sens tych prędko po sobie następujących wypadków, Kennedy objaśnił:

— Fizyk Tesla pierwszy twierdził, że powietrze, będące naogół dobrym izolatorem, może stać się w pewnych warunkach dobrym przewodnikiem energji elektrycznej. Ja sam obserwowałem drgania elektryczne tej samej mocy, co obecne, które przeni kały ciało człowieka bez jakiegokolwiek dlań niebezpieczeństwa, podczas gdy druty, znajdujące się w znaczniejszem oddaleniu, topniały. Widziałem dwa potężne koła z grubego drutu miedzianego, które te drgania przyjmowały. Wewnątrz tych kół stapiały się metale w jedną bryłę. W takiej po taci możnaby było całą energję Niagary przepuścić przez ciało ludzkie bez jakiejkolwiek szkody dla organizmu. Dzięki jakiejś djabelskiej przewrotności zdołał ten oto człowiek wyprom eniowaną energję skierować w taki sposób, że stopione zostały druty małej dynamomaszyny, pędzącej giroskop Nortona; oto wszystko. A teraz podążmy na lotnisko. Mam tam jeszcze ważne sprawy do załatwienia!

A kiedyśmy zaciekawieni stali już przed hangarem, Kennedy nie mógł dłużej panować nad swem zniecierpliwieniem.

— Przeczuwałem kawał z falami radjowemi od czasu, kiedy zauważyłem, że radjotelegraf był za każdym razem rozstrojony podczas lotów Nortona. — mówił

Kennedy, zerkając na Lamara. — Dzięki szczęśliwemu przypadkowi zauważyłem pańską dziwaczną antenę. Spostrzegłszy błyski, przypuszczałem z początku, że to są iskry elektryczne. Ale to było jedynie odbicie promieni słonecznych od objektywu pańskiego teleskopu. A więc słońce okazało się doskonałym... detektywem!

Lamar nie wyrzekł ani słówka.

Turkot zbliżającej się maszyny Nortona zmusił nas do usunięcia się na bok. Za chwilę samolot wylądował obok nas. Kiedy mechanicy zatrzymali maszynę, Norton wyskoczył.

— Gdzie jest Kennedy? — było jego pierwsze pytanie. Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

— Najbardziej zdumiewająca rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała! Dynamomaszyna nie była osłonięta pokrywą, jak w czasie mojego wczorajszego lotu. Zaledwie się wzniosłem na jakie 50 metrów, znów usłyszałem jakieś straszliwe trzaski. Spójrz pan, izolatory są zupełnie przepalone, a druty prawie wszystkie stopione.

— Taki sam los spotkał obie strzaskane poprzednio maszyny,--zauważyłKennedy, podchodząc zwolna.— Gdybyś pan dziś przy pierwszym locie nie użył bezpiecznika, sporządzonego przeze mnie, wczorajszy wypadek niechybnieby się powtórzył i kto wie, czy nie ze śmiertelnym wynikiem. Ten oto człowiek kierował za każdym razem całą energję swej potężnej instalacji na pański aeroplan.

— Jaki człowiek? — zapytał Norton.

Wywiadowcy wypchnęli naprzód Lamara. Norton rzucił nań pogardliwe spojrzenie.

— Delanne, — rzekł z obrzydzeniem — miałem cię wprawdzie za krętacza, odkąd zamierzałeś nieprawnie posiąść mój patent, ale... Sąd zresztą obliczy się już z takim, jak ty, nikczemnikiem...

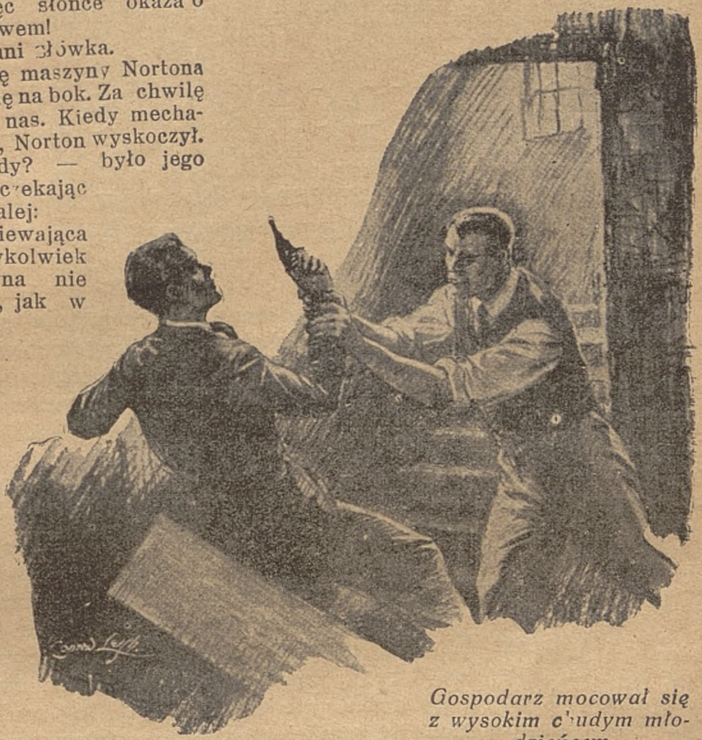
— Co znaczy ten nowy wybuch oklasków? — zapytał Norton, spoglądając na ciemną masę tłumu na trybunach.

W odpowiedzi zadźwięczał jakiś przenikliwy i wesoły głosik chłopca, usadowionego na dachu hangaru.

— To właśnie ogłaszają pana zwycięzcą zawodów, panie Norton!

* * *

Sąd nad Lamarem odbył się wkrótce. Podstępny „wynalazca" bronił się zaciekle, dowodząc niemożliwości działania prądu elektrycznego na odległość. Sala sądowa przybrała dziwny wygląd, przypominający

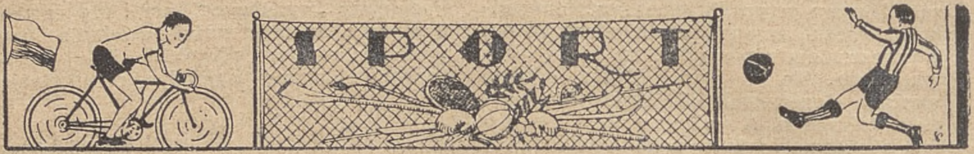


Gospodarz mocował się z wysokim chudym młodzieńcem..

raczej laboratorjum fizyczne. Miast napuszonych przemówień adwokatów w sali rozlegał się warkot dynamo i trzaskanie isker elektrycznych, wywoływanych tym razem przez Kennedy'ego. Pierwsze próby Kennedy'ego, nieobeznanego dokładnie z aparatem Lamara, spełzły na niczem. Niewiadomo, na czemby sprawa się skończyła, gdyby pewnego razu Kennedy'emu nie udało się skierować snopu niewidzialnych promieni na czcigodną osobę pana przewodniczącego...

Rezultat był zdumiewający!

Gazety tłumaczyły później surowy wyrok sądu tem, że pan prezes nie chciał darować Lamarowi swej przepalonej kamizelki i wspaniałego złotego zegarka, stopionego w bryłę...



O WYBORZE SPORTU.

ĆWICZENIA CIELESNE MUSZĄ BYĆ DOSTOSOWANE DO WRODZONYCH ZDOLNOŚCI FIZYCZNYCH.

Wiadomo, że ćwiczenia cielesne pobudzają organizm do żywszej działalności, należy się jednak zastanowić, czy to pobudzanie wychodzi nam na dobre. Często wślad za myślicielem angielskim, Spencerem, porównywano ciało ludzkie z maszyną. Istnieje jednak zasadnicza różnica. Części maszyny, będącej w ruchu, zużywają się do tego stopnia, że muszą być później zastąpione przez inne. Po upływie zaś pewnego czasu cała maszyna idzie na szmelc. Wprawdzie organizm też się zużywa, lecz rozchód ten niety lko nie wyczerpuje istoty organicznej, ale może nawet w pewnych warunkach wzmacniać ją na siłach. A więc konieczność wzmożonej działalności oznacza dla ciała naturalną drogę rozwojową.

Jeśli którykolwiek organ (dajmy na to muskuły lub serce) ma stale wykonywać wytężoną pracę, musi się do tego celu przystosować. Może to być osiągnięte różnemi drogami. Serce naprzykład pracuje intensywniej przy większym wysiłku. Puls podnosi się z 72 do 100 i nawet więcej uderzeń na minutę. (Oczywiście serce musi być całkiem zdrowe). Kiedy serce przyzwyczai się jednak do tego nowego wysiłku, potrafi pracować bardziej oszczędnie. Przy tejże co uprzednio pracy liczba uderzeń pulsu spada do 90 na minutę, a nawet niżej.

Jakżeż to możliwe, skoro organizm wykonywa tę samą pracę? Są różne ku temu przyczyny. Samo serce przyzwyczaja się pracować intensywniej. Poszczególne skurcze nabierają mocy, dzięki czemu przedostają się do najdalszych naczyń krwionośnych większe niż poprzednio ilości krwi. Podobnież przystosowują się czynne tkanki, w danym wypadku mięśnie, pracować oszczędniej, z mniejszem wydatkowaniem energji, co również od serca wymaga mniejszego nakładu pracy. Wreszcie, naskutek ćwiczeń, zostają wyeliminowane muskuły, które nie brały czynnego udziału w pracy. A więc i ten ostatni powód przyczynia się do mniejszego zużycia naszego organizmu.

Pomimo tego przekształcenia wywołują jednak ćwiczenia nawet u zaprawionych do tej pracy pobudliwość serca do żywszej działalności.

Jeśli nawet liczba uderzeń pulsu wzrasta nie wyżej, jak z 72 do 85—90 na minutę, to jest bądź co bądź zwyżka ponad poziom normalny. Dalej, serce pracuje intensywniej przy każdym poszczególnym skurczu. Na dłuższy dystans serce zdolne jest do tej wzmożonej pracy tylko wówczas, kiedy się zatrzymuje w swym wzroście. Ścianki mogą się stać bardziej zwarte i wraz z tem mocniejsze. Jedynie w miarę tego zapewniona być może stale wzmagająca się działalność. Na tem też polega tak zwane przystosowywanie się organizmów.

Oba rodzaje dostosowań: zarówno wydajnościowe, jak i organiczne, wzajem się uwarunkowywują. Jedynie wów-

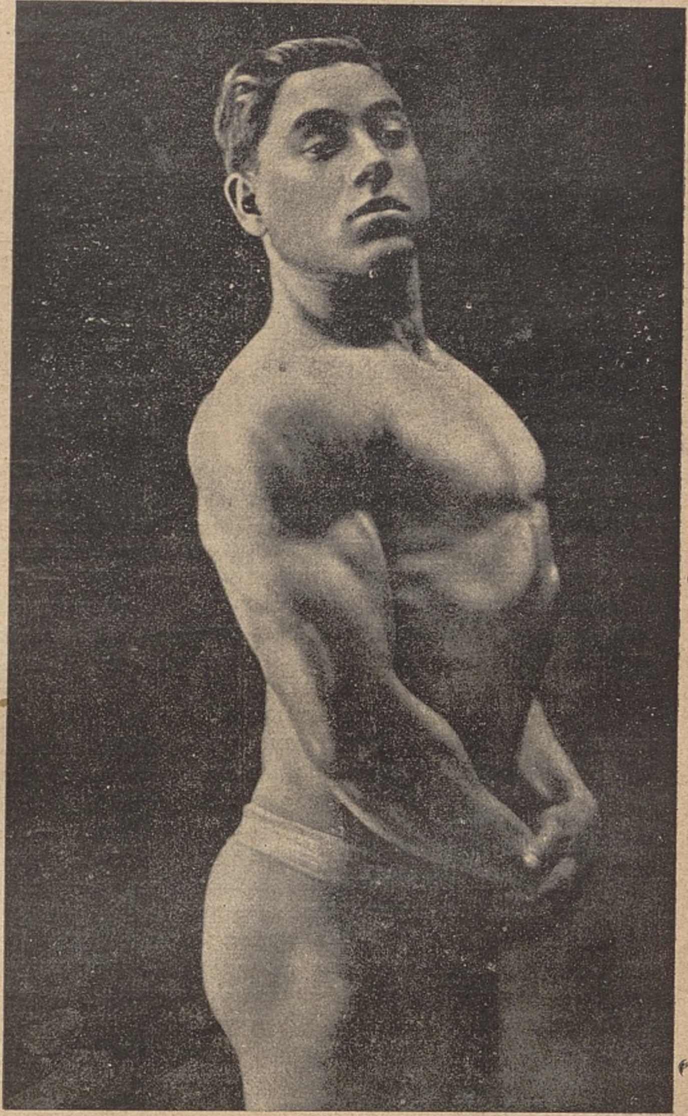
czas, kiedy rozwijają się prawidłowo i równolegle, można organowi, w danym wypadku sercu, zapewnić trwale wzmożoną zdolność wysiłku

Fizjologowie mówią, łącząc w jedno pojęcie obydwa rodzaje dostosowań, o *dostosowaniu funkcjonalnem.*

Wracając do naszego porównania organizmu z maszyną, nie możemy nie zauważyć wielkiego przeciwieństwa między martwą substancją a żywem ciałem.

Rozumie się samo przez się, że możliwość dostosowania obraca się w pewnych granicach. W tych rozważaniach winny być narazie zupełnie ominięte szczególne warunki, w jakich znajdują się organizmy, znajdujące się w fazach rozwojowych.

Właściwe każdemu człowiekowi zdolności fizyczne i duchowe, stawiają określone granice rozwoju poszczególnych organów, wzrostu ciała, siły muskułów, serca i t. d. Powyższe dane umożliwiają klasyfikację podług typów ludzkich.



Współczesny Herkules.
Najsilniejszy człowiek świata, Rigoulot (Francja), podnosi jedną ręką 110 klg.

Bywają naprzykład ludzie, którzy dzięki odziedziczonym właściwościom są w stanie wykonywać ciężką pracę. Przy względnie niewielkiej praktyce rozwijają się u nich mięśnie, które wkrótce pozwalają im dźwigać ciężary. Widzą to ich towarzysze i chcą ich naśladować. Ćwicząc pilnie, dźwigają i podnoszą ciężary... rezultat jest niezadowalniający. Po długotrwałych dopiero wysiłkach, i to nie zawsze, są w stanie podołać większym ciężarom. Powodzenie jest jednak również dlatego niezadowalające, że mięśnie ledwie reagują na całą tę pracę. Muskuły górnego ramienia, mierzone z wielką skrupulatnością, nie chcą „urosnąć".

Gdzie przyczyna?

Budowa mięśni u każdego ze wspomnianych ludzi jest różna. U jednego z nich przeważają, przez dziedzictwo, włókna, nadające moc mięśniom. Ćwiczenia pobudzają te włókna do dalszego rozwoju, i stąd tak szybki rezultat dodatni. Drugi zaś, który wysila się napróżno, posiada wprawdzie włókna, które pracują prędzej, ale są zdolne do przezwyciężania umiarkowawych jedynie oporów. Dla typu tego rodzaju nadają się raczej ćwiczenia oparte na zręczności, — naprzykład, — lekkoatletyczne (ciskanie i pchanie), lub na szybkości (bieg). Na tych polach jest dlań powodzenie osiągalne.

O ileby zaś ów słabszy człowiek, wbrew swym właściwościom fizycznym zechciał wykonywać ćwiczenia ciężko atletyczne, naraziłby się niewątpliwie na chorobę, naprzykład wadę serca. A to dlatego, że podejmuje się wykonywania czynności, do których brak mu kwalifikacyj fizycznych. Jeżeli jednak dostosujemy ćwiczenia do naszych właściwości fizycznych, to nietylko osiągniemy szybki rozwój ciała, lecz cieszyć się również będziemy jak najlepszem zdrowiem.

Wybór rodzaju sportu lub gimnastyki ma wobec powyższego zasadnicze znaczenie. Zadaniem przeto wychowania sportowego będzie przedewszystkiem wywarcie wpływu na naszą młodzież, aby obierała sobie rodzaje sportu, odpowiadające indywidualnym warunkom fizycznym i duchowym.

Ale, zapyta czytelnik, jak w danej sprawie poradzić sobie własnym rozumem?

Orjentacja w tym kierunku opierać się musi na dwóch przesłankach. Przedewszystkiem należy zapoznać się z każdym rodzajem sportu i gimnastyki i jego oddziaływaniem na ustrój fizyczny i psychiczny. Następnie zaś trzeba dostosować dany rodzaj sportu do indywidualnych zdolności fizycznych. Wówczas wejdzie w życie właściwa zasada, że nie człowiek jest dla sportu, lecz *sport dla człowieka.*

J. Ryt.

WIADOMOŚCI SPORTOWE.

WALKI O PUHAR DAVISA.

Król letnich sportów, elegancki i piękny tennis święci obecnie triumfy. Wielka konkurencja — Davis Cup, absorbuje cały świat tennisowy, będąc właściwie walką o mistrzostwo świata. Puhar Davisa — został ufundowany w 1900 roku przez mr. Davisa, jako nagroda zwycięska dla reprezentacji Stanów Zjedn. lub Anglji, które o zaszczyt posiadania go co roku toczyły boje. Ta anglosaska konkurencja rozrosła się jednak szybko w nieoficjalną walkę rakiet o mistrzostwo świata. Puhar Davisa był dotąd zdobywany przez reprezentantów tennisowych Ameryki — 11 razy, Australji — 7, Anglji — 5. Ostatnio zdobyła go Francja, która genjalnymi tennisistami tej miary co królowie rakiety — Lacoste, Cochet, Brugnon i inni — zdobyła sobie hegemonję w tym pięknym sporcie. Obecnie walki są w pełnym toku, bierze w nich udział kilkadziesiąt państw. Walka toczy się systemem puharowym. Spotkanie się losuje, pokonany odpada. Na spotkanie składa się 5 meczów — 4 walki pojedyńcze i 1 podwójna. Polska szczęścia nie miała; trafiła na bezapelacyjnie silniejszego przeciwnika — Danję. Polskę reprezentowali—w „single'u" Warmiński i J. Stolarow, mistrz Polski; w double'u bracia Stolarowowie. Danję pp. Ulrych i Petersen.

Ogółem mecz przegrany w stosunku 5:0. Setów wygraliśmy — 2, Danja — 15. W tennisie nie mamy niestety jeszcze nic prawie do powiedzenia. Choć talenty mamy. Ale, niestety — brak treningu, rutyny, rzadkość spotykań z pierwszorzędnymi przeciwnikami, a przedewszystkiem — fatalne warunki klimatyczne, krótki tennisowy sezon i brak zupełny krytych kortów — oto przyczyny niskiego poziomu polskiego tennisu! Porażka ta niech będzie dla nas przestrogą i wskaźnikiem. Z innych walk o Davis Cup — notujemy Anglja-Finlandja 5:0, Holandja-Węgry 3:2, Włochy-Rumunja 4:1, Holandja-Irlandja 5:0, Nowa Zelandja-Portugalja 4:1, Indje-Szwajcarja 4:1

NIEPARADOKSALNE PARADOKSY...

Człowiek, który nic nie ważył.

O NIEKTÓRYCH MARZENIACH NIEZISZCZALNYCH. — CUDOWNY ŚRODEK A NIEWŁAŚCIWE ZASTOSOWANIE. — FANTAZJA WELLSA W ŚWIETLE NAUKI.

Być lekkim, jak piórko, ba być lżejszym nawet od powietrza, słowem nic nie ważyć... Pozbyć się nareszcie tych bądź co bądź dokuczliwych więzów ciężkości — oto nieziszczalne marzenie, które niejednego porywa od najwcześniejszej młodości. Zapomina się jednak o pewnej nader doniosłej sprawie: ludzie mogą się właśnie poruszać po ziemi jedynie dzięki temu, że są cięższi od powietrza. Właściwie „mieszkamy na dnie oceanu powietrznego", jak oświadczył Toricelli. Gdybyśmy się stali — dajmy na to — 1000 razy lżejsi (a więc lżejsi od powietrza), to niewątpliwie wypłynęlibyśmy na powierzchnię tego oceanu. Podnosilibyśmy się kilometr za kilometrem aż do tej strefy, w której waga rozrzedzonego powietrza równa się wadze naszego ciała. Marzenia o dowolnem bujaniu „w obłokach" ponad górami i dolinami ulotniłyby się jak kamfora. Albowiem, uwolniwszy się od siły ciężkości, stalibyśmy się jeńcami innej potęgi — ciśnienia atmosferycznego.

Znany pisarz, Wells, wybrał właśnie taką niezwykłą sytuację za temat jednego ze swych fantastychnych utworów, opartych na podstawach naukowych.

Pewien zbyt podtatusiały jegomość zapragnął pozbyć się swej tuszy za jakąkolwiek cenę. Autor posiadał receptę, otrzymaną od pewnego sławnego czarodzieja hinduskiego. Receptę tę, która posiadała własność zmniejszania wagi, tłuścioch wydostał od autora tego opowiadania, przyjął lekarstwo i — oto jaka nieoczekiwana zgoła niespodzianka spotkała autora, kiedy przyszedł raz w odwiedziny do grubaska i zapukał do drzwi.

„Drzwi długo się nie otwierały. Słyszałem, jak się obrócił klucz, poczem doleciał mnie głos Pajkrafta (tak zwał się tłuścioch).

— Proszę!

Nacisnąłem klamkę i otworzyłem drzwi. Oczywiście byłem pewien, że zobaczę Pajkrafta. A jednak nie było go widać. W gabinecie panował wielki nieład: talerze i półmiski stały pośród książek i przyborów do pisania; niektóre krzesła były poprzewracane, ale Pajkrafta nie było...

— Tu jestem, stary druhu! Zamknij pan drzwi, — rzekł. Spojrzałem w górę, skąd dochodził głos. Mój przyjaciel tkwił pod sufitem, w samym kącie nad drzwiami, jakby się przylepił do pułapu. Na twarzy jego malował się gniew i przestrach. Zamknąłem drzwi, zatrzymałem się *pod* moim przyjacielem i skierowałem na niego wzrok.

— Co za dziwną pozycję pan wybrał! W razie czego możesz pan spaść i złamać kark!

— Byłbym temu rad — rzekł przyjaciel.

— W pańskim wieku zajmować się tego rodzaju gimnastyką... Ale, do licha, jak się pan jednak tam trzyma? — zapytałem.

Nagle zauważyłem, że on się wcale nie trzyma, lecz pływa tam w górze, jak

pęcherz, napełniony gazem. Gospodarz zrobił wysiłek, aby oderwać się od sufitu i zleźć ku mnie wzdłuż ściany. Uchwycił się w tym celu ramki jakiegoś obrazu, który jednak nie wytrzymał i runął na podłogę. Przyjaciel zaś uniósł się pod sam sufit, o który się uderzył. Teraz domyśliłem się dlaczego wszystkie części jego ubrania a także włosy powalane są kredą. Po chwili z wielką ostrożnością zaczął się opuszczać wzdłuż pieca.

— Lekarstwo to, — zasapał grubasek, — było zbyt radykalne. Utrata wagi bezwzględna!

Zrozumiałem wszystko.

— Przyjacielu — rzekłem. — Jak widzę, panu potrzebny był środek przeciwko *tuszy*, a pan ciągle mówił o *wadze*... Ale zaczekaj pan, zaraz poradzę,—krzyknąłem, wziąwszy biedaka za ręce i ciągnąc wdół.

Tłuścioch zatańczył po podłodze, usiłując zdobyć grunt pod nogami. Zabawny widok! Miałem wrażenie, jakgdybym usiłował utrzymać żagiel w burzliwy dzień.

— Tamten stół — wystękał nieszczęśliwy Pajkraft, zmordowany „tańcem“, — jest dość mocny i ciężki. Gdyby panu się udało umieścić mnie pod nim...

Uczyniłem, jak chciał. Ale wsunięty pod masywne biurko przyjaciel chwiał się tam, jak balon na uwięzi, przyczem ani na chwilę nie doznawał spokoju.

Naraz wybuchnął wściekle:

— Ach, co mam robić?! Radź pan!..

— Jedno jest jasne, — rzekłem, — a mianowicie, czego pan *nie* powinien czynić. Jeśli zechce pan, naprzykład, wyjść z domu, to pamiętaj pan, że będziesz się podnosił wciąż wyżej i wyżej...

Podsunąłem mu myśl, że powinien się dostosować do swego nowego położenia. Dałem mu też do zrozumienia, że bez trudu zdoła chodzić na rękach po suficie.

— Nie mogę spać, — jęknął.

Wytłumaczyłem mu, że można przymocować do siatki od łóżka miękki materac, do którego przywiąże się pierzynkę. Prześcieradło zaś i kołdrę przypnie się z boku.

Potrawy umieszczono na szafie, przyczem Pajkraft dostawał się do swego „bufetu“ po drabinie bibljotecznej, w tym celu ustawionej. Wpadliśmy również na dowcipny pomysł, aby przyjacielowi umożliwić opuszczanie się i podnoszenie bez jakichkolwiek przeszkód. Koncept polegał poprostu na tem, że na górnej półce umieściliśmy „Encyklopedję Brytyjską“. Chcąc się opuścić Pajkraft brał sobie do ręki parę olbrzymich tomów i zjeżdżał na podłogę. Aby się wnieść w górne sfery dość mu było wypuścić z rąk te tomy.

Spędziłem w mieszkaniu Pajkrafta dwa dni zrzędu. Z dłutem i młotkiem w ręku skonstruowałem wszelkie możliwe urządzenia, a przedewszystkiem przeprowadziłem drut aby w razie potrzeby mógł zadzwonić.

Siedziałem przy kominku Pajkrafta i ugaszczałem się soda-whisky, podczas gdy on sobie spokojnie wisiał w swym ulubionym kącie pod sufitem nad drzwiami, przybijając dywan turecki do sufitu (był to właściwie mój pomysł, który przez niego był realizowany).

— Słuchaj, przyjacielu! — krzyknąłem — Eureka!. Mam kapitalny pomysł, abyś mógł odzyskać równowagę... Ołowiana podszewka pod ubranie i dobrze!

Pajkraft z radości omal nie zaczął płakać.

— Kupi się — rzekłem — blachy ołowianej i podszyje pod pańskie ubranie. Również buty będziesz pan nosił z podeszwami ołowianemi, do rąk dostaniesz worek czystego ołowiu i sprawa załatwiona! Przestaniesz odtąd być niewolnikiem swego pokoju. Możesz wyjść na ulicę, wyjechać zagranicę, podróżować nawet do bieguna północnego. Możesz się nie obawiać katastrofy morskiej. Wystarczy zrzucić z siebie niektóre części

garderoby, ewentualnie całą odzież, wziąć bagaż do ręki i pofrunąć do domu"..

* *
*

Powyżej opisane przygody człowieka, który stracił swą wagę, tak żywo uplastycznione przez Wellsa, nasuwają przy głębszem zastanowieniu się niemałe wątpliwości. Najpoważniejszym zarzutem zaś jest okoliczność, że tłuścioch, utraciwszy wagę swego ciała, bynajmniej nie podniósłby się do sufitu!

Albowiem w myśl prawa Archimedesa, które znajduje zastosowanie nietylko przy płynach, lecz i w stosunku do ciał lotnych, Pajkraft wypłynąłby pod sufit jedynie wówczas, gdyby waga jego ubrania wraz z zawartością wszystkich jego kieszeni była mniejsza od ciężaru powietrza, wypartego przez cielsko grubaska. Ile zaś waży powietrze o objętości ciała ludzkiego łatwo obliczyć, jeśli przypomnimy sobie, że waga naszego ciała równa się mniej więcej ciężarowi wody o tej samej objętości (przeciętnie o 6% więcej; dla ludzi dobrei tuszy różnica jeszcze bardziej maleje). Przyjmując dla ciała ludzkiego przeciętną wagę 70—80 kg. otrzymamy, że masa wody, wyparta przez ciało miałaby taki sam prawie ciężar. Ponieważ powietrze normalne jest 770 razy lżejsze od wody, taka sama objętość powietrza ważyłaby około 105 gramów. Jeśli przyjąć wagę tłuściocha za 100 kg., to nie mógł on wszak wyprzeć więcej powietrza, niż jakie 130 gramów. Czyżby jednak ubranie, obuwie, zegarek, pugilares i t. d., słowem wszystko, co posiadał przy sobie, ważyło mniej, niż 130 gramów? Oczywiście ważyło więcej. Ale w takim razie grubasek winien był zostać na podłodze, aczkolwiek w dość niezrównoważonem położeniu. W żadnym jednak wypadku nie mógł „wypłynąć pod sufit jak balon".



Aby do tego doszło, winien był pierw się rozebrać.

Oto jeden punkt krytyki, która swą logiką, na doświadczeniach naukowych opartą, wystarcza aby zniweczyć, jakby się zdawało dowcipny pomysł autora.

Lecz wyobraźmy sobie, że nasz Fatty - Grubasek nie ważył nic, czyżby wtedy wywody Wellsa były słuszne?

Odpowiemy: „Tak", z pewnem oczywiście zastrzeżeniem: jeśliby preparat hinduskiego czarodzieja miał rzeczywistą receptę, i znalazłby się na świecie aptekarz, któryby na jej podstawie arcycudowne lekarstwo sporządził.

A. Brzozowski.



NIEMI RYWALE GWIAZD KINOWYCH

O SZLACHETNEJ ZUZANNIE, PRZEKORNYM SAULU, JEGO KUMIE NUMIE I INNYCH NIE INTERESUJĄCYCH SIĘ GAŻAMI BOHATERACH EKRANU.

Zapewne mocno powątpiewacie w istnienie aktorów filmowych nie interesujących się swoją gażą. Powątpiewając jesteście w błędzie. Tacy bowiem bohaterowie ekranu istnieją. Mam właśnie na myśli... czworonożne „gwiazdy".

Ale, ale!... Zdarzają się również i dwunożne „gwiazdy" nie uzależniające gry od ilości otrzymywanych banknotów dolarowych. Do takich należą w pierwszym rzędzie tresowane strusie, koguciki, kokoszki...

Pewna nader szlachetna przedstawicielka kurzego rodu imieniem „Zuzanna", miała nawet zaszczyt być partnerką Charlie Chaplina w jego ostatnim filmie p. t. „Cyrk".

„Zuzanna" jest naprawdę fenomenalną kurą. Ogromnie gospodarna, do przesady czysta. Słowem rodowita Niemka. W tej bowiem krainie wypadło się jej urodzić.

Proszę sobie wyobrazić kurę, która śpiewa, tańczy, podaje łapkę i posiada niewyczerpany repertuar pociesznych minek. Taką właśnie kurą jest „Zuzanna". W filmie „Cyrk", na żądanie reżysera zniosła podobno, prawdziwe... jajko.

Z czworonogów kreował w wymienionym filmie poważną rólkę kucyk imieniem „Saul". Kucyk ten, nieodwołalnie postanowił sobie ścigać, przy każdej sposobności, nieszczęsnego bohatera z tej wyłącznie przyczyny, iż ten zdradzał przed nim najżywszą obawę. Taki był to już przekorny „Saul".

W rzeczywistości jednak, „Saul" to zupełnie solidny kucyk, który w źrebięcej swojej niedojrzałości nie przypuszczał nawet, iż, wybiegając na sygnał bata, ściga owego szybującego tuż przed nim człowieczynę w podartych butach i dziurawym meloniku.

Sceny pogoni „Saula" za Chaplinem dokonywano w sposób nader prosty. „Saul" na trzask bicza wybiegał. Tak bowiem został wyuczony. Uciekający nieborak był mu równie obojętny, jak większość innych, asystujących podczas zdjęć.

Natomiast naprawdę przekorny był „Saul" w stosunku do swego kolegi po fachu, solidnego lwa „Numy".

Wszyscy ci, którzy widzieli „Cyrk", na pewno pamiętają lwa „Numę", w klatce którego Chaplin przez chwilę odgrywał rolę bohatera, mimo a nawet wbrew woli.

Lew „Numa" jest już zwierzęciem mocno podeszłem w lata. Są tacy, którzy przypuszczają, iż jeszcze na rzymskiej arenie uczestniczył w walkach gladjatorów. Charlie Chaplin twierdził nawet, iż lew ten chadzał w zaprzęgu Marka Aureljusza, gdzie właśnie wytarł sobie sierść od uprzęży.

Lew „Numa" sypia sobie co najmniej 23 godziny na dobę, przez resztę czasu jada i wypoczywa. Jest

zupełnie łagodny i nigdy jeszcze nie wyrządził nikomu krzywdy. Wogóle zwierzę to nie umie się złościć. Zachowuje majestatyczny spokój i opanowanie przy najbardziej „wstrząsającej" akcji. Wskutek tego praca z nim daje zarówno aktorom jak i personelowi technicznemu zupełną gwarancję spokoju i bezpieczeństwa.

Otóż właśnie przekorny „Saul" uwziął się i w wysoce nietaktowny sposób przerywa często „Numie" jego rozkoszną drzemkę.

Zwykle nieuwiązany, rży donośnie „Saul" przed klatką ekskróla puszczy, jakgdyby obwieszczając wszem i wobec o jego detronizacji. Czasem nawet, gdy jego źrebięca zuchwałość przekracza wszelkie granice, zupełnie bezceremonjalnie kopie śpiącego przez pręty klatki.

Zbudzony lew spogląda pogardliwie sennem okiem na pozbawionego dworskich manier źrebaka i z miną głoszącą: „ze szczeniakami nie miewam do czynienia", zasypia ponownie.

Najpocieszniejsze sceny zdarzają się przy pracy ze zwierzętami, które w żaden sposób nie dają się tresować. Przygodni bohaterowie, którym sądzone jest w zastępstwie „gwiazd" szanujących całość swoich osób, współgranie z takiemi zwierzętami, rzadko wychodzą bez poważnych obrażeń lub przynajmniej guzów.

Kuna lub hiena zawsze dbają o to, ażeby palce ich dozorców nie wyszły, przypadkiem z pod opieki lekarskiej.

Strusie najniemiłosierniej zrzucają z siebie dosiadających je śmiałków, ze stoickim spokojem połykając przytem smakowite pudełka od sardynek, gwoździe, haki a nawet niebacznie pozostawione obcęgi...

Nierzadko zdarza się konieczność uciekania się do niebezpiecznych zdjęć z dzikiemi bestjami wprost w ich rodzinnych puszczach i dżunglach.

Znakomity reżyser filmów ze zwierzętami J. Delmont w swoich wspomnieniach opisuje niejeden wypadek śmiertelny, nie jedno cięższe poranienie i niezliczone wprost wypadki, w których ledwo, ledwo uniknięto groźnego niebezpieczeństwa.

Podczas zdjęć z krokodylami w okolicach Bas Obisco (Indje Zachodnie), zawdzięczając jedynie szczęśliwemu przypadkowi i niepospolitej celności jednego z tybulców uratowano odważnego aktora od połknięcia przez olbrzymiego jaszczura, wolnego obywatela rzek i jezior strefy tropikalnej.

O metr od płynącego aktora wynurzył się potężny, przeszło sześciometrowy kajman. Rozwarł szeroko paszczę i na szczęście miast upatrzonej ofiary połknął celną kulę ołowianą, wysłaną mu przez nietracącego zimnej krwi strzelca-metysa.

Reżyser Delmont i jego towarzysze, którzy sceptycznie odnosili się dotąd do wersji, jakoby krokodyl umiał płakać, — ujrzeli dwie grube strugi płynące z oczu zabitego potwora — krokodyle łzy...

Jedni przypisywali je żalowi jaszczura za utraconym smacznym kąskiem, inni, w tej liczbie reżyser Delmont, tłumaczyli to inaczej: jeden z rękopisów wielce sentymentalnego scenarjusza wpadł, kilka dni temu, do wody i zatonął. Może aligator przeczytał rękopis?..

Zabitego krokodyla przymocowano drutami do łodzi. Dwóch ludzi stało w wodzie, poza polem widzenia objektywu i trzymało jaszczura w ten sposób, iż paszcza jego opierała się o krawędź łódki, na której zaciekle „bronił się" bohater. Trzeci człowiek wdrapał się na zwieszającą się nad wodą gałąź drzewa i ciągnął za cienki sznurek przymocowany przez górną szczękę do podniebienia krokodyla. Zapomocą pociągnień sznurka otrzymano efekt rozwierającej się żarłocznie paszczy.

Ciekawe jest, że prawdziwe, rzeczywiście niebezpieczne sceny podobają się publiczności zazwyczaj bezporównania mniej od zwykłych, robionych tanim kosztem tricków.

Z pośród „gwiazd" zwierzęcych psy stanowią najliczniejszy i najinteligentniejszy element.

Wystarczy wskazać na film p. t. „Psia dola“, w którym zwykły, szary kundel wzrusza nas grą pełną artyzmu i tak uduchowionym smutkiem, że naprawdę dość rzadko zdarza się sposobność zaobserwowania u człowieka-aktora tak doskonale wyrazistej mimiki.

Bezsprzecznie na czoło wszystkich „gwiazd“ zwierzęcych wybija się znakomity Rin-tin-tin. Pies ten pochodzenia niemieckiego, znaleziony został w czasie wojny w niemieckim okopie przez jakiegoś Kanadyjczyka, który go zawiózł do ojczyzny. Tam zainteresowała się nim poczta, która go zaangażowała do pracy. W tęn sposób pies utrzymywał swego oślepionego na froncie pana.

Pewnego dnia, gdy Rin-tin-tin znajdował się w zaprzęgu, gotów do codziennej drogi, przyprowadzono go z całym zaprzęgiem do atelier filmowego, gdzie wraz z towarzyszami musiał odegrać rolę w jakimś obrazie według powieści Jacka Londona.

Reżyser wytwórni nie mógł nadziwić się pojętności psa. Odtąd Rin-tin-tin gra stale w licznych obrazach, wykazując zadziwiającą inteligencję przy zupełnem zrozumieniu powierzonej sobie roli.

Maksymiljan Emmer.

WIADOMOŚCI FILMOWE.

Amerykańska wytwórnia w Polsce.

Jak donosi „Film Daily“ Pola Negri ma grać w dwóch fimach Foxa, z których jeden będzie nakręcany w Europie, prawdopodobnie w Polsce.

Wielka uczelnia nauk filmowych.

W przededniu wielkiego rozwoju przemysłu filmowego w Polsce powstaje poważna uczelnia nauk fimowych.

W uczelni tej będą wykładali profesorowie szkół wyższych, znani teoretycy sztuki i techniki filmowej. Program opracowany ściśle, oparty jest na wzorach najbardziej poważnych szkół zagranicznych.

Douglas i Mary w Europie.

Douglas Fairbanks i Mary Pickford bawią od dłuższego czasu w Paryżu, gdzie gotują się do nakręcania swego pierwszego europejskiego filmu. — Zdjęcia mają się odbywać w Nicei. W roku przyszłym Fairbanks nosi się z zamiarem zrealizowania dwóch filmów w Rosji.

Film bez ekranu.

Dowiadujemy się, że grono amerykańskich fizyków jest w przededniu dokonania nowego wynalazku, który uczyni przewrót w produkcji filmowej i pchnie ją znacznie naprzód.

Dotychczas cały obraz filmowy widzimy na płaszczyźnie ekranu i to nam nie daje złudzenia, jakbyśmy patrzyli nad ciała plastyczne, trójwymiarowe.

Amerykańscy fizycy pracują na skonstruowaniem takiego aparatu, któryby ukazywał działające postacie w przestrzeni tak, aby czyniły wrażenie żywych, trójwymiarowych aktorów.

Ten rodzaj filmu uczyni widowisko filmowe jeszcze bardziej zupełnem i zbliżonem do teatru.

Miasto filmowe w Anglji.

Tow. Wembley National Film Studien zakupiło tereny powystawowe w Wembley, gdzie przystępuje do budowy miasta filmowego.



Muzyka przestworzy.



Niedawno odbył się w Londynie jedyny w swoim rodzaju koncert, który zelektryzował słuchaczy.

Młody uczony rosyjski, profesor Leo Teremin z państwowego instytutu w Leningradzie, skonstruował aparat, który umożliwia wydobywanie muzycznych tonów z powietrza.

Aparat ten jest niezwykle prosty.

Na estradzie stoi stół, do którego przymocowano z prawej strony cienką metalową pałeczkę, z lewej kółko metalowe. Szczupły młodzieniec łagodnie podnosi ręce i jedną zbliża do pionowo stojącej pałeczki, drugą do owego koła. W tej chwili atmosfera zaczyna rozbrzmiewać cudownemi tonami niebiańskiej zaiste muzyki. Ręka wynalazcy wykonywuje ruchy harfiarza, przebiegając palcami po niewidzialnych strunach.

Słuchacze siedzą jak zahipnotyzowani.

Słynny fizyk angielski Oliwer Lodge twierdzi, iż wynalazek rosyjskiego profesora nie jest czemś zupełnie nowem, gdyż opiera się on na podobnej zasadzie, jak telegraf bez drutu. Ręka operatora w stosunku do metalowej pałeczki, znajdującej się w centrum elektro-magnetycznego pola, odgrywa taką samą rolę, jak ziemia w stosunku do radjo-aparatu. Zbliżanie się i oddalanie ręki zmienia rytm fali powietrznych. Cudowność wynalazku polega na tem, że prof. Teremin ujarzmia „wyjące Erynje", które tak często wdzierają się przez radjoodbiornik do naszych uszu, i każe im śpiewać anielskie melodje.

Wynalazca nazwał swój aparat „tereminem", a zdobył już taką wprawę w wygrywaniu gam na falach eteru, że urządza duety z towarzyszeniem fortepianu. Efekt jest czarujący, gdyż linja owej eterycznej melodji pod wpływem najmniejszego ruchu ręki ulega ćwierćtonowym, a nawet półćwierćtonowym odchyleniom.

Nowy instrument odegra niewątpliwie doniosłą rolę w muzyce symfonicznej.

Profesor Teremin odbywa obecnie tournée po całej Europie.

Apetyty zwierząt.

Zarząd ogrodu zoologicznego w Poznaniu ma niemały kłopot z przygotowaniem codziennego obiadu dla swej zwierzęcej czeredy. Apetyty różnych zwierząt są tak różne, a gusta tak odmienne, że „kuchnia" ogrodu zoologicznego nielada starań dołożyć musi, aby zaspokoić upodobania każdego swego pupilka.

Co i ile jadają poszczególne zwierzęta? Przypatrzmy się „menu" codziennemu poznańskiego „Zoologu".

Otóż czterech dorosłych mężczyzn nie skonsumuje tego, co zjada lew. Codzienna porcja króla zwierząt wyraża się w 5—7 kg. surowego mięsa. Inne drapieżniki zadawalają się znacznie mniejszemi porcjami. A więc leopard — 3 - 4 kg., dziki kot abisyński „Mungo" tylko 1 kg., hiena zjada normalnie 2 i pół kg., szakal 2 kg., lis — 1 i pół kg. mięsa surowego. Stosunkowo niewielki apetyt ma wilk, poprzestając na 2 kg. mięsa maximum.

Ogromnie niejednolitym apetytem odznacza się biały niedźwiedź polarny: czasem tylko 1 kg. a czasem aż cztery kg. mięsa. Chleba zwierzę to nie lubi.

Wielce urozmaicone jest „menu" małp. Na śniadanie zupa mleczna na mące dobrze osłodzona, dla niektórych gatunków surowe jaja. Są jednak rodzaje małp, dla których największy przysmak stanowią świeżo bite jaskółki. Szympans jada to samo co człowiek: mleko, chleb, mięso i dużo owoców. Wszystkie małpy prócz śniadania

nie dostają w ciągu dnia nic więcej; korzystają zato z licznych przysmaków, rzucanych im przez publiczność.

Lew morski jada tyleż, co i król puszczy, jednakże zamiast mięsa — ryby. Antylopy, kozy, owce, lamy i wielbłądy jadają najchętniej trawę, siano, a do tego pewną ilość „sałaty" z buraków cukrowych. Wielbłąd potrzebuje do 15 kg. siana, lub do 20 kg. trawy codziennie, zakrapiając ją 3 — 5 kubełkami wody. Wszystkie zaś zwierzęta racicowe lubią szalenie sól.

Nienasycony jest słoń. Olbrzym ten zjada codziennie 10 kg. buraków, do 8 kg. otrąb, tyleż owsa, 3 bochenki chleba, centnar siana — a do tego 8 — 12 kubłów wody. Zato przysłowiowy żołądek strusia zadowalnia się niewielką stosunkowo ilością jadła.

Największym zaś gastronomem świata zwierzęcego jest maleńki kolibr, który przepada za mieszaniną mleka skondensowanego, miodu pszczelnego i mąki.

Rajskie drzewa.

Drzewo „Mango" ma posiadać nadprzyrodzone własności. Fakirzy indyjscy już od wieków z drzewem tem dokonują niewytłumaczonych dotąd magicznych praktyk. Fakir zagrzebuje ziarnko owocu mango w ziemię i odnośne miejsce nakrywa czerwoną chustą, dokoła której szybkim krokiem poczyna krążyć, wygrywając przytem na flecie monotonne melodje. Od czasu do czasu mag podnosi chustkę, ujawniając za każdym razem nowy cud. Z ziarnka wyrasta roślinka o świeżych zielonych listeczkach.

Pomijając te tajemnicze przymioty, mango jest nader użytecznem drzewem stref tropikalnych. Jego owoc jest doskonały, pożywny i orzeźwiający i wskutek tego bardzo poszukiwany przez podróżników podzwrotnikowych.

* * *

W południowej Azji dojrzewa owoc, wywołujący podziw u przybyszów z krain północnych. Z gałęzi zwieszają się olbrzymie kolczaste „ogórki", osiągające wagę kilku funtów. Różowe mięso tego owocu jest soczyste, smakiem przypomina orzechy i migdały. Należy jednak mieć nos „odporny" na nieprzyjemne zapachy, bowiem woń owocu jest fatalna.

* * *

Mieszkańcy niektórych stref tropikalnych wiodą niezaprzeczenie „rajskie" życie. Bez jakiegokolwiek zachodu i trudu przyroda obdarza ich bezpłatnie doskonałem pożywieniem w postaci owocu „drzewa chlebowego". Owoc ten nie nadaje się wprawdzie do spożycia w stanie surowym, natomiast ugotowany lub smażony użyty być może do przyrządzania najrozmaitszych potraw. Upieczony w gorącym popiele nabiera smaku kaszy zmieszanej z mlekiem; przyprawiony cukrem lub miodem daje znakomity budyń; pokrajany w krążki i ususzony na ogniu stwarza smaczny chleb, z którego preparowane suchary okrętowe można przechowywać w ciągu paru lat. Dla ludności wysp Oceanji drzewo chlebowe, które daje owoc corocznie przez dziesięć miesięcy zrzędu, stanowi główny artykuł spożywczy i tak wydajne źródło żywności, że krajowiec, zasadziwszy w ciągu życia choćażby tylko dziesięć drzew chlebowych, spełni całkowicie obowiązek zarówno względem siebie samego jak i potomstwa, gdyż taka ilość „chlebówek" wystarczy w zupełności dla wyżywienia paru pokoleń.

* * *

Do rzędu drzew „bajkowych" zaliczyć trzeba też drzewo afrykańskie „Cigella africana", rodzące owoc o kształcie kiełbasy. Widok takiej „kiełbasówki", której owoce zwieszają się na cieniutkich łodyżkach, sprawia wrażenie wędzarni wędliniarskiej z pozawieszanemi na sznurkach kiełbasami. Tak tedy przyroda w niektórych zakątkach świata okazała się szczególnie szczodrobliwą, dając ludziom drzewa rodzące nawet chleb i — kiełbasy!

Sporty fantastyczne.

Obok sportów właściwych — rozwijają się ostatnio sporty ekscentryczne. Spacer pieszo lub na rowerze dookoła ziemi należy już do banalnych eksperymentów, które nie budzą ani ciekawości i zainteresowania w tłumie, ani też nie wabią sportowca. W czasach ruchliwości powojennej i manji przenoszenia się z miejsca na miejsce uzyskują prawo obywatelstwa czyny

sportowe bardziej oryginalne i niecodzienne. Tak naprzykład jeden z żądnych rozgłosu Belgijczyków postanowił zadziwić swych rodaków, podejmując się obejść pieszo całą Belgję z bębnem na pasie, wybijając do taktu marsza. Obywatel Leroi z Lyonu wpadł na niemniej a może bardziej ekscentryczny pomysł —przewędrowania całej Francji w worku. W drodze jeszcze znajdują się dwaj Kanadyjczycy, którzy wyruszyli w podróż po Europie, przyczem jeden z nich obowiązkowo musi spoczywać w taczce, którą drugi pcha przed sobą. Pewną sławę wśród gapiów paryskich i... lekarzy zdobył sobie pan Dupuis, z zawodu tapicer, który dwadzieścia razy zrzędu wszedł i zeszedł po schodach na wieży Eiffla, nie zatrzymując się ani na minutę. Lekarze zainteresowali się tym fenomenem, który ma nielada wytrzymałe serce i płuca.



Lotnicy amerykańscy Wilkins (z prawej strony) i Ejelson, którzy przelecieli przez biegun północny.

Przez Biegun Północny i Ocean Spokojny.

Los nieszczęśliwego sterowca „Italja", jest wymownym dowodem tego, ze Ocean Lodowaty przedstawia dla rajdów powietrznych ogromne niebezpieczeństwo. Aby je pokonać należy mieć prócz nieprzeciętnej odwagi również niemało szczęścia. Dwóch śmiałych lotników amerykańskich, Wilkins i Ejelson, sprostało swemu zadaniu tylko po całym szeregu nieudanych prób, które trwały lata całe. Wreszcie wytrwałość i odwaga bohaterów powietrza uwieńczone zostały powodzeniem. Przestrzeń z Alaski do Szpicberga —przez Biegun Północny—została pokonana.

Podróż ta nie jest tylko śmiałym wyczynem sportowym, lecz ma doniosłe znaczenie naukowe. Stwierdzono definitywnie, że na biegunie niema stałego lądu. Obserwacje atmosferyczne, przeprowadzone przez lotników, również będą cenną wiadomością dla nauki o krajach arktycznych. W kołach lotniczych całej Europy twierdzą, że ten przelot nad biegunem należy do najdonioślejszych wydarzeń naszych czasów, zarówno pod względem technicznym jak i naukowym.

Lecz pod względem sportowym przewyższa go bezprzecznie lot Kingsforda Smitha, który startując w Ameryce na swym płatowcu „Krzyż Południa", przeleciał w dwóch etapach Ocean Spokojny i wylądował w Brisbane (Australja) na lotnisku Eagle Farm. Na przyjęcie bohatera gigantyczn go lotu wyległo całe miasto. Ciżba cisnących się ludzi złamała swym naporem mocny parkan okalający aeodrom i rzuciła się ku lotnikom. Rozentuzjazmowane tłumy zaniosły lotników na rękach do gmachu rady miejskiej, gdzie na ich cześć odbyło się uroczyste przyjęcie.

Niezwykły ten przelot przyniósł Kingsfordowi i jego towarzyszowi podróży oprócz wieńca wawrzynowego także... strumień złota władza federacyjna bowiem wyznaczyła mu 5.000 funtów szt. nagrody, a kwesta publiczna przyniosła około 6 miljonów franków! Lecz nie dziwmy się. Trasa tego lotu przewyższa 10.000 km. i równa się

blisko dwum lotom przez ocean Atlantycki. Smith pierwszy przeleciał Pacyfik. a Australczycy nie bez dumy twierdzą, że lot „Krzyża południa“ przewyższa rajd Lindbergha.

Ile kwiatów trzeba na funt miodu?

Pewna przedsiębiorcza niewiasta w stanie Dakoty, w północnej Ameryce, sprzedaje —jak donoszą dzienniki amerykańskie — rocznie 50 tysięcy funtów miodu.

A ponieważ Amerykanie mają zwyczaj obliczać wszystko, przy tej więc sposobności zadali sobie trud obrachowania, ile kwiatów musiały odwiedzić pszczoły dla zdobycia takiej ilości słodkiego produktu.

Otóż, według skrupulatnych obliczeń, pszczoła musi zebrać nektar z 56 tysięcy kwiatów, aby z niego wytworzyć funt miodu, a zatem pszczoły owej niewiasty z Dakoty zgarniały słodycz z 2 miljardów 800 miljonów kwiatów, dla dostarczenia towaru swej właścicielce.

Nic nowego pod słońcem.

Automaty, sprzedające różne drobiazgi za wrzuceniem monety, nie są bynajmniej nowożytnym wynalazkiem.

W starych świątyniach w Egipcie używano maszyn do automatycznego sprzedawania wody orzeźwiającej.

Za wrzuceniem przez szparę do naczynia monety pięciodrachmowej, wchodził w ruch mechanizm prosty, podobny do przyrządu do oczyszczania studzien; kran otwierał się na chwilę i wypuszczał pewną ilość wody. Aparat taki opisuje Heron z Aleksandrji.

Skarb z przed 400 lat wyorany przez wieśniaka.

Trudno dzisiaj marzyć o znalezieniu skarbu, któryby mógł zabezpieczyć człowiekowi byt do końca jego żywota. O skarbach znachodzonych przez szczęśliwych wybrańców losu słyszy się tylko w baśniach i legendach. A jednak istnieją skarby ukryte do czasu przed oczyma ludzi, na które wcześniej czy później natrafi ktoś istotnie, budząc na nowo ludzką tęsknotę do bogactwa i majątku. Oto w miejscowości Sucha Struga w pobliżu uzdrowiska Rytro na Podhalu, w powiecie nowosądeckim, pewien chłop orząc pole zahaczył pługiem o jakiś twardy sprzęt. Po wykopaniu okazało się, że sprzętem był garnek gliniany, owinięty w pakuły, wypełniony po brzegi monetami srebrnemi z roku 1531 — 1536. Monet tych był kilkaset. Przedstawiały one wizerunki królów polskich: Zygmunta III i Władysława IV. Między niemi znajdowały się również monety węgierskie i niemieckie z czasów Albrechta o średnicy 1 cm.—6 cm.

Na wiadomość o znalezionym skarbie zbiegli się z całej wsi wieśniacy. Fama o wyoranych pieniądzach obiegła całą okolicę, budząc wśród tamtejszej ludności najrozmaitsze domysły na temat pochodzenia skarbu. Znalezione monety przedstawiają wartość raczej muzealną niż istotną i znajdują się obecnie w muzeum Ziemi Sądeckiej, albowiem są rzadkiemi okazami numizmatycznemi.

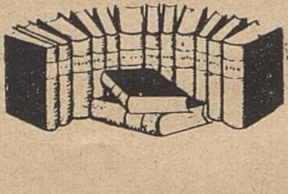
Nowa Pompeja w Azjj środkowej.

W majowym numerze daliśmy szczegółowe sprawozdanie z ekspedycji naukowej, która odkryła martwe miasto Kara-Khoto wśród piasków pustyni Gobi. Obecnie otrzymujemy wiadomości o przybyciu archeologów rosyjskich do *Termezu*, położonego na Amu — Darji. Termez był w VII wieku znacznym ośrodkiem kultury buddyjskiej, a następnie mahometańskiej.

Wychylił się z pomroków dziejowych cień pięknej cywilizacji. Odkryto jej ślady w postaci posągów buddyjskich i ściennych tafli.

Śmierć 180-letniej papugi.

W Brighton (Anglja) zakończyła swój żywot 180-letnia papuga, która swego czasu należała do generała Masseny. W roku 1800 „historyczną“ tę papugę gen. Massena ofiarował Napoleonowi.



Bezbronna istota.

HUMORESKA.

Pan dyrektor spędził fatalną noc. Atak podagry strasznie oddziałał na jego nerwy. Pomimo to wstał o zwykłej porze i udał się do banku. Zmęczony i przygnębiony chorobą, zwracał się do interesantów cichutkim głosem, jak człowiek konający.

— Czem mogę pani służyć? — zwrócił się do jakiejś pani w rotundzie przedpotopowej, z której można byłoby wykroić co najmniej z pół tuzina modnych obecnie palt.

— Otóż, proszę pana dyrektora— poczęła młynkować językiem klientka— mój mąż, młodszy referent Pantofelski, chorował jakie pięć miesięcy, i w tym czasie, kiedy on, z przeproszeniem pana dyrektora, leżał sobie w domu i odbywał kurację, otrzymał, bez żadnego powodu ze swojej strony, ni stąd ni zowąd dymisję, proszę łaski pana dyrektora, a kiedym przyszła po jego pensję, to rozumie pan dyrektor, strącono z jego pensji 49 zł. i 40 gr.! „Z jakiego tytułu?" — py tam. „On, mówią, otrzymał z kasy samopomocy... inni koledzy dali za niego poręczenie". „Jakżeż to? Czyżby brał bez mego pozwolenia?" To rzecz niemożliwa, panie dyrektorze. I czemu mnie taki los spotyka? Jestem kobietą biedną, żyję jedynie z sublokatorów... Takam słaba, bezbronna. Każdy mnie krzywdzi, nikt dobrego słowa nie powie. .

Skończywszy to przemówienie, zaczęła mrugać oczyma i szukać chusteczki. Dyrektor przyjął od niej podanie i zaczął przeglądać.

— Przepraszam, ale nic nie rozumię, — odrzekł wreszcie dyrektor, wzruszając ramionami. — Widocznie omyliła się pani w adresie. Podanie pani nie dotyczy naszego banku. Pani się zwróci do urzędu, w którym pracował mąż.

— Ależ, proszę pana dyrektora-dobrodzieja, byłam już w pięciu miejscach i nigdzie nie przyjęto tego podania!—rzekła pani Pantofelska.— Nie wiedziałam co robić, na szczęście poradziłam się mego zięcia, Bartłomieja Swiszczypały. Zięć co prawda, ale porządny człowiek! Otóż ten zięć, niby mój, rzecze do mnie: „Zwróćcie się mamo, do pana dyrektora banku (miał na myśli pana, panie dyrektorze), pan dyrektor ma — mówi zięć — stosunki i dla mamy może wszystko uczynić"... Niech mnie pan ratuje, panie dyrektorze.

— Niestety, nic nie możemy dla pani uczynić, pani Pantofelska... Niechże pani zechce zrozumieć! Mąż pani, jak widzę, pracował w urzędzie wojskowo-medycznym, nasze zaś przedsiębiorstwo jest prywatne, handlowe. Prowadzimy bank. Jak można tego nie rozumieć.

Dyrektor wzruszył jeszcze raz ramionami i zwrócił się do jakiegoś wojskowego z fluksją.

— Proszę pana dyrektora — zanuciła Pantofelska żałosnym głosem, — że mąż był chory mogę stwierdzić świadectwem lekarskiem. Oto ono, proszę spojrzeć!

— Cudownie, wierzę pani — powiedział dyrektor, nieco zdenerwowany. — Ale powtarzam, to nas nie dotyczy. Dziwne i wprost komiczne! Czyż mąż pani nie wie, dokąd należy się zwrócić?

— On, proszę pana dyrektora, nie ma wogóle o niczem pojęcia. Jedno tylko umie: „Nie twoja rzecz! Wynoś mi się!" I już... A czyja to rzecz? Przecierz na moim karku wszyscy siedzą! Na moim!

Dyrektor znowu zwrócił się do Pantofelskiej i zaczął jej wyjaśniać różnicę między urzędem wojskowo-medycznym a bankiem prywatnym. Kobiecina wysłuchała go uważnie i kiwnęła głową na znak zgody.

— Tak, tak, tak... Rozumiem, mój łaskawco. W takim razie niech pan dyrektor poleci z łaski swojej wydać mi choć 20 złotych. Ja się zgadzam, by nie wszystko odrazu...

— Uff! — westchnął głęboko dyrektor odrzucając głowę wtył. — Dlaczego pani nie chce zrozumieć? Zwracanie się do nas z taką pretensją jest nie mniej dziwne, niż przesłanie podania w sprawie rozwodowej, naprzykład, do apteki lub urzędu miar i wag. Pani nie dopłacono, ale co to nas obchodzi?

— Całe życie modlić się będę o zdrowie i wszelką pomyślność dla pana dyrektora — zapłakała Pantofelska. — Zmiłuj się pan nade mną, nieszczęśliwą sierotą... Jestem bezbronna, słaba. Znużonam śmiertelnie... Sprzeczaj się z sublokatorami i męża zastępuj, i gospodarstwem się zajmij, a tu w dodatku rekolekcje i mąż bez posady. W ustach nic prawie dziś nie miałam, drepczę i drepczę... Całą noc oka nie zmrużyłam.

Dyrektor uczuł silne bicie serca. Z męczeńskim wyrazem twarzy zaczął wyjaśniać petentce, na czem polega całe nieporozumienie, ale wtem głos odmówił mu posłuszeństwa.

— Przepraszam, nie mogę z panią rozmawiać, — powiedział i machnął ręką. — Dostałem zawrotu głowy. Pani nam przeszkadza, a i sama traci czas napróżno. Uf!... panie Leonie, — zwrócił się do jednego ze współpracowników, — proszę, niech pan wyjaśni tej pani.

Załatwiwszy klientów, udał się dyrektor do swego gabinetu i podpisał kilkanaście papierów, a pan Leon wciąż jeszcze pocił się koło Pantofelskiej. Dyrektor, siedząc w gabinecie, słyszał wciąż dwa głosy: monotonny, przytłumiony bas pana Leona i płaczliwy, piszczący głos Pantofelskiej:

— Jestem kobieta słaba, bezbronna. Z pozoru sądząc, tom niby krzepka, ale jeśli mnie zbadać gruntownie, to wszystko się we mnie rozpada. Zaledwie się trzymam na nogach, a apetyt, proszę pana, straciłam zupełnie... Piłam z rana kawę, ale przyjemności przy tem nic a nic...

A pan Leon wciąż wyjaśniał jej różnicę między urzędami a bankami prywatnemi, tudzież skomplikowaną procedurę przesyłania papierów. Wreszcie zmęczył się. Zastąpił go buchalter.

— Piekielnie obskurna baba! — wściekał się dyrektor, wyłamując palce ze zdenerwowania i otrzeźwiając się od czasu do czasu wodą. — To ci idjotka, głowa kapuściana! Zmordowała mnie i ich również wytrzęsie, jak febra! Uf!... jak mi serce bije...

Za pół godziny zadzwonił. Wszedł pan Leon.

— Jakżeż tam u was? — zapytał dyrektor zmęczonym głosem.

— Nie daje sobie wlać oleju do głowy, panie dyrektorze! Zostaliśmy wszyscy bez sił. My do Sasa, a ona do lasa...

— Ja... ja nie mogę wprost znieść jej głosu... Chory już jestem... nie mogę dłużej wytrzymać...

— Zawołam woźnego, panie dyrektorze, niech ją wyprowadzi.

— Nie, nie... — przeraził się dyrektor. — Ona wrzasku narobi... W tym domu tyle mieszkań... djabli wiedzą, co o nas jeszcze mogą pomyśleć... Postaraj się pan, kochany panie Leonie, jakoś jej wyjaśnić...

Po chwili dało się znów słyszeć dudnienie pana Leona. Minął kwadrans i jego bas zastąpiony został przez dźwięczny tenor buchaltera.

— Co za podła baba! — oburzał się dyrektor, wstrząsany nerwowym dreszczem. — Głupia, jak osioł dardanelski, niech ją licho porwie! Czuję, że zbliża się nowy atak podagry. Ach, ta migrena...

W sąsiednim pokoju pan Leon, straciwszy cierpliwość, zabębnił palcem po stole, a potem stuknął się w czoło.

— Krótko mówiąc, ma pani nie głowę, a...

— Patrzcie no go, tego grubjanina! Żonie swojej postukaj, małpiszonie! A rękami sobie za dużo nie pozwalaj...

Spoglądając na nią z wściekłością, jakby ją chciał połknąć, pan Leon wyrzekł cichym, zduszonym głosem:

— Wynoś mi się stąd!

— Co-o? — wrzasnęła piskliwie Pantofelska. — Jak pan śmie?... Jestem słaba, bezbronna, nie pozwolę tak się traktować! Mój małżonek jest młodszym referentem, ordynusie jeden! Zaraz pójdę do adwokata Procesowicza, ten cię nauczy moresu! Trzech sublokatorów eksmitowałam... czekaj bratku... ja ci jeszcze pokażę! Będziesz mnie na klęczkach błagał o przebaczenie... Pójdę do waszego prezesa! Panie prezesie! panie dyrektorze! Panie...

— Precz mi stąd, wiedźmo! — syknął pan Leon.

Dyrektor uchylił drzwi i zajrzał do biura.

— Co się stało? — zapytał płaczliwym głosem.

Pantofelska, czerwona jak rak, stała na środku pokoju, łypiąc oczyma i wymachując rękoma. Urzędnicy banku skupili się w kącie, spoglądając bezradnie dokoła.

— Panie prezesie! — rzuciła się Pantofelska ku niemu. — Oto ten, ten sam... (palcem wskazała na pana Leona) stukał sobie palcem w czoło, a potem po stole. Pan dyrektor kazał mu zbadać moją sprawę, a on kpi sobie ze mnie!... Kobieta słaba, bezbronna... Małżonek mój jest młodszym referentem, a mój ojciec był majorem!

— Dobrze, szanowna pani —jęknął dyrektor — zbadam sprawę, zrobię coś dla pani... Ale później... Teraz niech pani sobie pójdzie...

— A kiedyż otrzymam, panie prezesie? Pieniądze są mi już potrzebne!

Dyrektor otarł sobie czoło trzęsącą się ręką, westchnął i znów zaczął wyjaśniać.

— Szanowna pani, mówiłem pani przecież... Tutaj jest bank, instytucja prywatna... handlowa... Czego pani chce od nas? Niech pani zechce raz zrozumieć, że nam przeszkadza...

Pantofelska wysłuchała go i westchnęła.

— Tak, tak,—zgodziła się. —Tylko niech pan prezes wejdzie w moje położenie... obroni mnie, jak ojciec rodzony. Całe życie modlić się będę za zdrowie pana dyrektora. Jeżeli świadectwo lekarskie nie wystarczy, to mogę przynieść wyciąg poświadczony przez policję... Niech pan prezes każe mi wydać pieniądze!

Dyrektor poczuł zawrót głowy. Wypuścił całe powietrze, jakie miał w płucach i bezsilnie opadł na krzesło.

— Ileż pani chciała dostać? — zapytał zaledwie dosłyszalnym głosem.

— 49 złotych i 40 groszy.

Dyrektor wyjął z kieszeni portfel, wyciągnął banknot 50-złotowy i podał Pantofelskiej.

— Niech pani weźmie i... odejdzie!

Pantofelska zawinęła papierek w chusteczkę i skrzywiwszy twarz w uśmiechu słodkim, nawet kokieteryjnym, zapytała:

— Panie dyrektorze, a czyby tak mój mąż nie mógł wrócić zpowrotem na posadę?

— Odjeżdżam... jestem chory... — wyszeptał dyrektor głosem konającym. — Mam straszne bicie serca...

Po jego odjeździe pan Leon posłał woźnego do apteki. Każdy ze współpracowników wziął po 20 kropel walerjanowych, poczem wszyscy powrócili do pracy. Pantofelska siedziała w przedpokoju jeszcze ze dwie godziny i w oczekiwaniu dyrektora prowadziła konwersację z woźnym.

Przyszła również nazajutrz.

A. Cz.



Mozaika.

Nad, WAL. WARYSZEWSKI (W-wa)



ZNACZENIE WYRAZÓW; 1) Amulet u mahometan 2) Poetka grecka 3) Wzgórze wulkaniczne, z którego wybucha błoto 4) Wielka komnata 5) Sama (po łacinie) 6) oneta włoska 7) Związki chemiczne 8) Utwór muzyczny wykonany pojedyńczo 9) Pieśń żałobna 10) Śpiew słowika 11) Krzesło monarsze 12) Ślad 13) Dawny pieniądz polski 14) Zaprawa — wapienna 15) Dzieło (w jęz. obcym fonet.) 16) Laska Bachusa 17) Miasto sta ożytne (2-gi przypadek) 18) Rodzaj łodzi 19) Zachód 20) Owad, pasorzyt 21) Pr ymiot szkodliwy 22) Dolina stająca si chwilowo korytem rz ki 23) Gubernator prowincji tureckiej 24) Taniec 25) Pogardliwa nazwa Niemca (fonet.) 26) Bez butów 27) Rodzaj wiatru we Włoszech 28) Kredyt 29) Śpiewak poeta 30) Część ciała 31) Instytucja handlowa 32) Obręcz, opaska żelazna.

Odgadnąć 32 wyrazy o podanem znaczeniu i wpisać w podany rysunek (litery A, B. C, D zastąpiwszy właściwemi). Pierwsza litera każdej ćwiartki jest wspólna dla 8 wyrazów, druga dla 4, trzecia dla 2 i czwarta jest ostatnią literą każdego słowa. [2]

Kryptogram.

podał FR. GROCHOCKI (Łomża) [3.]

.ia.a — .o ..ia..a ...e.o..ia,
.o ..ie.i . ..o.a.. .y.o.a;
o.a ...o ..o..i .o..ie..e.
. .e..u .a. .a ..o.. .,.i ..o.a
I ..o..y. .o..ie. .y.i.a,
.o.y..y i .o .i ..a.ę, —
.i. .ię .ic ..a.ie, .ie .e..ie,
.o.ó.i ..ie..ia.. .a.. — .ia.ę!
A.,u. O..a.

Odczytać wiersz poety. dopełniwszy spółgłoski.

Zadanie literackie.

Nad. WAL. WARYSZEWSKI (W-wa)

Z powyższych liter ułożyć 15 wyrazów, których rząd środkowy i czarne kratki dadzą rozwiązanie. [3]

A	A	D	A	A	A	A	A	A	D	A	A	A	A	E
E	A	D	D	Ç	Ł	B	C	Ę	G	C	A	E	S	I
I	B	E	E	K	M	B	H	I	Ł	C	G	E	U	J
J	R	O	I	R	Y	I	M	M	Ó	D	I	I	■	L
M	■	O	M	V	■	J	■	N	■	H	I	M	■	M
Ń	■	P	Ś	Y	■	L	■	Z	■	S	M	N	■	O
O	■	R	Y	Z	■	M	■	■	■	U	N	R	■	S
P	■	Z	Z	Ż	■	N	■	■	■	U	■	Z	■	T
Ś	■	■	■	■	■	O	■	■	■	Z	■	■	■	Y

UTWORY: 1) Kasprowicza 2) Słowackiego 3) Puzyny 4) Krasickiego 5) Sien iewicza 6) Daudet'a 7) Górskiego 8) Orzeszkowej 9) Perzyńskiego 10) Hamsuna 11) Dolińskiego 12) Konopnickiej 13) Zoli 14) Makarczyka 15) Makuszyńskiego.

Zadanie konikowe.

Nad. A. TYRAKOWSKI

tem	cier	n e	dz eń	żyć
ma	pos	cych	młódź	że
pi	ś ia	**CO**	z	(zą
trze	szkół	mi	tem	jak
i	na	gam	u	ludź

Ruchem konika szachowego należy obejść pola kwadratu i odczytać wiersz A Mickiewicza. [2]

Krzyżówka.

Nad. M. PALAMARCZUK (Brody)



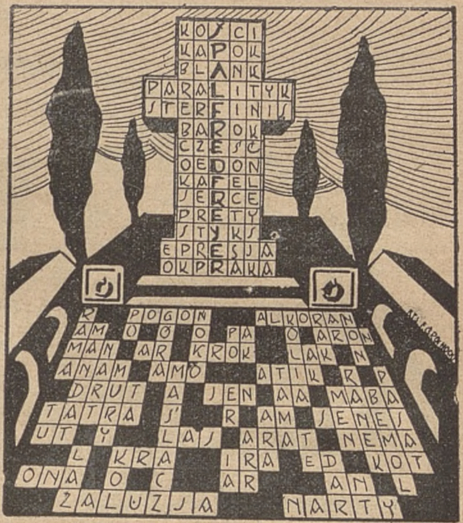
Wyrazy czytane pionowo.

1) Ptak domowy, 3) Tytuł wyższej szlachty, 5) Zwierze z rzędu parzystokopytnych. 7) Zwierzę morskie. 9) Roślina ozdobna. 11) Inaczej chłostać.

Wyrazy czytane poziomo:

2) Inaczej ściana. 4) Imię męskie 6) Drzewo. 8) Zwierzę o ciele obrączkowem, 10) Rzeka egipska. 12) Inaczej cios. [2]

Rozwiązanie konkursowe



odznaczone 1-szą nagrodą za piękne wykonanie nadesłał Fr. GROCHOCKI z Łomży.

Krzyżówka „Zygzak"

Nad. M. TYRAKOWSKI (Skoków).

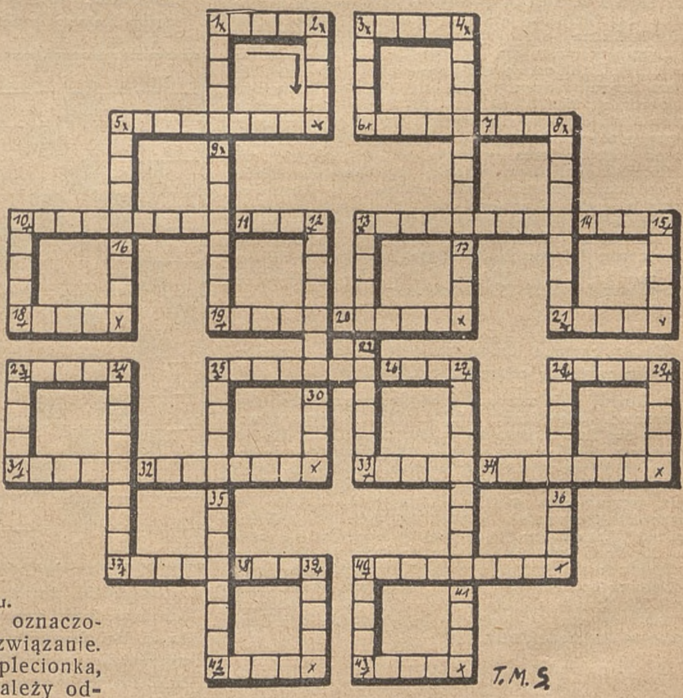
POZIOMO:

1) Płyn (inaczej) Republika ameryk. (fon.) 5) Dbały 6) Król w mieście Jolkos 7) Przestrzeń ziemi zamieszkana przez naród 10) Umieszczam między czem (po łacinie) 11) Bożek rzymski 13) Mamka 14) Czarny — po łacinie 18) Imię żeńskie 19) Zając—po łacinie 20) Przykryte 21) Nazywany (wspak) 23) Alfabet 25) Środek 26) Więzienie 28) Wielka woda 31) Grządka 32) Minęło 33) Usuń 34) Miasto nad Dźwiną 37) Influencja 38) Bożek wojny 40) Gwiazda zaranna (wsp.) 42) Rozbójnicy (wspak) 43) Śpieszy (wspak).

PIONOWO:

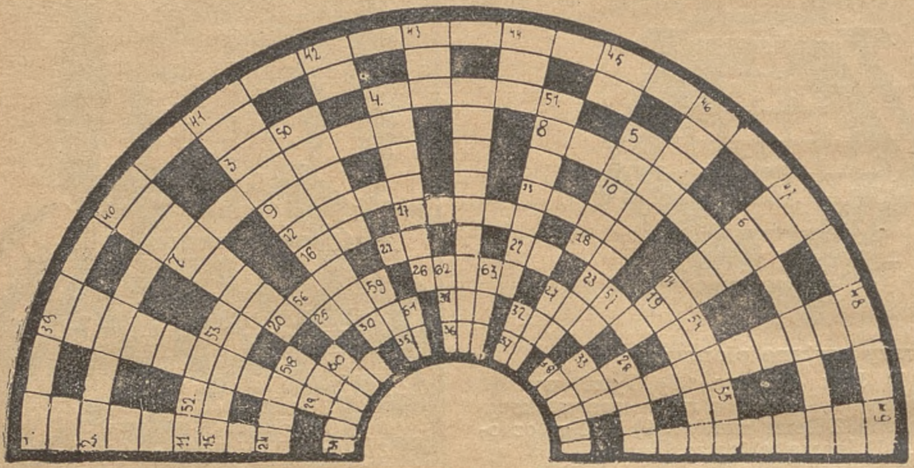
1) Człowiek, wyrażający się bezczelnie o rzeczach szlachetnych 2) Szlachetny 3) Znak 4) Rządca 5) Siekiera 8) Taki sam 9) Boginka morska (wsp.) 10) Jeżeli (wspak) 12) Spis 13) Strumień 15) Czasomierz (wspak) 16) Napój 17) Plecie trzy po trzy 22) Jest w kościele (V przyp.) 23) Opieka 24) Pod warunkiem (wspak) 25) Odczuwa 27) Syn amazonki Antjope 28) Niańka 29) Zacne 30) Ranek 35) Plac między budynkami mieszkalnemi 36) Córka Asklejpjosa (wspak) 39) Linka na psy 40) Napady 41) Kurek w wodociągu.

Litery w kwadracikach, oznaczonych krzyżykami dadzą rozwiązanie. Strzałka, względnie sama plecionka, wskazuje, jak zadanie to należy odczytać. [3]



Wachlarz krzyżowy.

Nad. J. KESLIN (W-wa)



ZNACZENIE WYRAZÓW:

Wyrazy czyta się na okręgach w kierunku strzałki zegara („wspak" oznacza, iż wyraz czyta się odwrotnie do kier. strzałki zegara).

1) Imię i nazwisko pisarza polskiego z w. XVI oraz tytuł jego dzieła 2) Nazwisko pamiętnikarza polskiego z w. XVII 3) Przyimek 4) Naczynie krwionośne 5) „Idzie" w języku martwym 6) Skok w głąb wody 7) Rodzaj jarzyny (gatunek kapusty) 8) Nazwisko słynnego sportowca 9) Pytajnik 10) Dwie samogłoski 11) Cicha mowa 12) Syn Dedal 13) Nazwisko autora hymnu Francji (fonet.) 14) Istota wyższa (zdrobniale) 15) Zbiory kart 16) Rzeka w pn. wsch. Europie 17) Olbrzymie kładki 18) „W ten sposób" w języku niemieckim (fon.) 19) Imię artyski filmowej (wspak) 20) Potrawa mleczna 21) Zaimek osobowy 22) Kość (w jęz. obcym wspak) 23) Naczynie gliniane lub kamienne 24) Część pokoju 25) Postać ze znanej powieści Kraszewskiego 26) Postać mityczna 27) Kontrakt (bez samogłosek) 28) Podkop wypełniony materjałem wybuchowym 29) Imię żeńskie 30) Okres czasu 31) Liczebnik 32) Bogini rzymska 33) Rodzaj kołdry 34) Odstępca 35) Karta 36) Dopływ Renu 37) Spójnik łaciński 38) Ptak domowy.

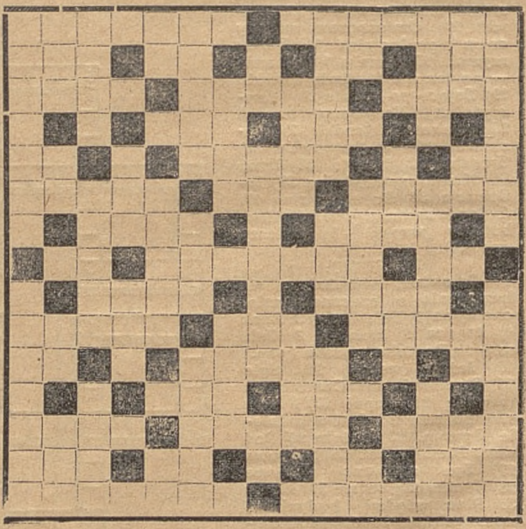
Wyrazy czytane dośrodkowo („wspak" oznacza że wyraz czyta się odśrodkowo).

1) Rozbój 4) Miasto nad brzegiem morza Czarnego 5) Inaczej „ujmujesz" 27) Termin ping-pong'owy 28) Siła 32) Termin muzyczny 33) Litera (fon.) 39) Syn kasztelana 40) Mędrzec ateński 41) Sprzedawcy dzienników 42) Bożek egipski 43) Zaimek (liczba mn. wsp.) 44) Spoidło 45) Inicjały (nazwisko i imię) wodza Polaków - wygnańców 46) Część anatomji 47) Kraj w Afryce 48) Pisarz polski w. XVIII 49) Republika w Ameryce 50) Okres czasu 51) „Rozbiór" w języku francuskim 52) Przyimek 53) Inicjały komedji Al. Fredrego 54) Wykrzyknik 55) Gniew w języku romańskim (fon.) 56) Zaimek łaciński 57) „Osioł" w języku romańskim (fon.) 58) Moneta skandynawska 59) Ptak egzotyczny 60) Miara gruntu 61) Karta 62) Imię żeńskie 63) Miasteczko w dorzeczu Bohu. [4]

Krzyżówka magiczna.

Nad. SYLW. CZIŃSKI (W-wa)

Niżej podane wyrazy, należy ułożyć w obok podany deseń tak, by powstała prawidłowa magiczna krzyżówka. Wyrazy w tej krzyżówce są czytane poziomo i pionowo jednakowo.

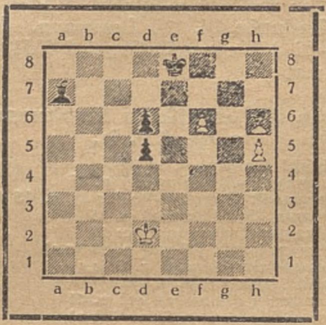


WYRAZY: Aojda, ar, arak, arka, artysta, atu, balon, bor, brak, car, da, el, ia, ibis, is, karakuł, karat, katar, kir, Klara, koc, konar, kultura, loty, mag, mak, mirt, oka, okowita, Olga, Omar, on, on, Rataj, ro, robak, ,ta, tiunika, tor, udo, ur. [2]

SZACHY

Studjum № 19.

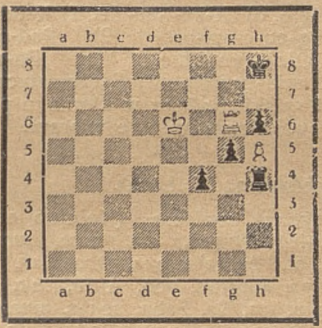
A. Selezniew



Białe zaczynają i wygrywają

Studjum № 20.

A. Selezniew



Białe zaczynają i wygrywają.

O STUDJACH SZACHOWYCH.

Studjum szachowe jest to sztucznie ułożona pozycja końcowa, w której jedna strona (zwykle Białe) może osiągnąć wygraną lub remis jedynie zapomocą trudnych skomplikowanych i pięknych manewrów. Dobrze ułożone studjum szachowe rozstrzyga się zwykle zapomocą posunięć, które na pierwszy rzut oka mogą się wydać dziwnemi, bezcelowemi albo wręcz błędnemi, i później dopiero czytelnik dostrzega głębyko ukryty sens tak napozór nielogicznego manewru.

Droga do rozwiązania bywa i powinna być jedyna. Skoro studjum dopuszcza rozwiązanie uboczne, jest ono dyskwalifikowane. Rozwiązanie powinno być piękne, albowiem studja (narówni z zadaniami) są „poezją gry szachowej" i podlegają wszystkim wymaganiom estetyki, stosowanym do każdego rodzaju twórczości artystycznej.

Niżej podajemy rozwiązania dwóch studjów znanego mistrza A. Selezniewa. Przy analizowaniu rozwiązań czytelnik przekona się, jakie subtelności może kryć w sobie napozór prosta pozycja szachowa.

ROZWIĄZANIE Nr. 19.

1. Lh6—g7 Ke —f7
2. h5—h6 Kf7—g6

Na 2... Kg8 rozstrzyga natychmiast 3 Lh8!

3 Lg7—h8 La7—b6

Albo Lf2. Jeżeli 3... Ld4, to 4 f7 i wygrywa. Jeśli zaś 3... d5—d4, to 4 h6—h7, d6—d5 5 f5— f7, La7—c5 6L : d4! Lc5—b4+ 7 Ld4—c3 i wygrywa.

4. h6—h7 Lb6—d8
5. f6—f7 Ld8—g5+

Jeżeli 5. . Ld8 - e7, to 6 Lh8—f6! i wygrywa

6. Kd2—d1 Lg5—h6
7. Lh8—g7!! Kg6 g7
8. f7—f8 D+

i Białe wygrywają.

ROZWIĄZANIE Nr. 20.

1. Ke6—f7 Wh4 : h5

Na Wh1 lub f3 następuje W : h6 mat, zaś na 1... Kh7 2 Wg7+ Kh8 3 Kg6 i t. d.

2. Wg6—g8+ Kh8—h7
3. Wg8—g7+ Kh7—h8
4. Kf7—g6 g5—g4!
5. Wg7—a7 Wh5—g5+
6. Kg6 : h6 g4—g3

Na 7... Wg5—g8 następuje 7 Wa7—h7 mat.

7. Kh6 : g5 g3—g2
8. Wa7—a1 f4—f3
9. Kg5—g6!

i Białe wygrywają.

Gdyby Białe na 9 posunięciu zagrały Kg5—h6, doprowadziłoby to po 9... Kh8—g do nierozegranej.

Rozwiązania z Nr. 4.

Rebus. (F. Grochocki).
BEZ SERC BEZ DUCHA TO SZKIELETÓW LUDY.

Krzyżówka. („Harpun").
1) Katelelektronus. 2) Aromat-galery. 3) To-ir-p-de-as. 4) Emir-kuc-Kant. 5) Larponcz-zje. 6) Et-ke-i-ur-ma. 7) K-punijczyk-a. 8) Tg-co-c-om-pt. 9) Rad-puzon-ery. 10) Olek-rym-kloc. 11) En-za-k-el-fz. 12) Uranja-profan. 13) Systematyczny. (Wyrazy i sylaby podane w kierunku poziomym. Cyfry oznaczają kolejne wiersze.

Krzyżówka. (E. Łoza).
Wyrazy poziome: (Kolejno od 1 do 32 włącznie) Pogoń, ma, nam, mano, drut, Tatra, at, żaluzja, ona, kra, las, amo, ar, krok, pa, alkoran, yen, Aron, lak, kita, Aa, ma, tara, Ira, Ra, Saba, senes, amen, kot, na, narty. *Wyrazy pionowe*: (od 33 do 55 włącznie). Dar, ut, pasat, bemol, ranek, non, Ra, rak, kolja (i=j), tama, at, ka, okoń, góra, maślarz, żal, tran, mury, ta, mandat, rama (o=a), er.

Logogryf pomnikowy.
1) Kości, 2) Kopal, 3) Plata 4) Paralityk, 5) Platforma, 6) Barok, 7) Pjeta 8) Midas. 9) Kafel 10) Serum 11) Faele, 12) Styks, 13) Opresja, 14) Pokraka.

Przekładanka geograficzna.
Bukareszt, Lubl**i**n, Ma**d**ryt, Dam**a**szek, Diep**p**e, Bruks**e**la, Palmer**s**ton, Zaleszc**z**yki, Frankfur**t**.
BUDAPESZT

Rebus (uł. W. Stec)
KAŻDY MA SWOJE WŁASNE CELE.

Logogryf geograficzny.
A, A**d**i, An**a**pa, Ada**m**ana, K**a**rtagina, Me**s**syna, Be**n**ue, L**y**s, **k**.
ADAM ASNYK

Logogryf (nad. Waryszewski).
1. Gromada, 2. Admirał, 3. Lorentz, 4. Bossuet, 5. Arbiter, 6. Stręczy, 7. Marconi, 8. Gutzkow, 9. Awinion, 10. Rewizor, 11. Elektra, 12. Diament, 13. Sobótka 14, Stajnia, 15. Karpaty, 16. Cubryna, 17. Puszkin, 18. Baryton, 19. Ujejski, 20. Makaron, 21. Czechow, 22. Popioły, 23. Edredon, 24. Kipling.
MIESIĘCZNIK „MÓJ PRZYJACIEL"

Figielek rebusowy.
SŁOWIK.

Szarada bez przecinków.
ANIELI.

Zagadka.
W EPOCE ADAMA i EWY, GDY KAIN ZABIŁ ABLA

Kącik szachowy.
Zadanie 13. *Kubbel.* 1 D h1—b1; d7 : e6 2 S b8—c6+; K a7—a6 3 b7—b8 S mat. 1... K : b8; 2 W e6—e8+; K b8—a7 3 W e8—a8 mat. 1... S : e6; 2 S b8 : d7 i 3 D b1—b6 mat.

Zadanie 14. *S. Lewmann.* 1 Kg8—f7, Sa3—c2 2 We4—c4!.. Grozi 2 Wd4+ i 3 Dd3 (e6) mat.

Spis uczestników konkursu z № 4 r. b.

I. Lubicki (Radom) p. 11 (s)
L. Axtmayer (Stanisławów) p. 15
J. Niesporek (Sokołów-Podlaski) p. 13 (s,z)
H. Artman (Stanisławów) p. 15
T. Wilczyński (Tarnopol) p. 17
W Waryszewski (W-wa) p. 20 (z,s)
Fr. Grochocki (Łomża) p. 9 (z,s)
H. Repa (Rohatyn) p. 11 (s)
S. Przedecki (Skierniewice) p. 11
M. Berson (Brześć n/B) p. 8 (z,s)
L. Jasiński (Kutno) p. 10
St. Dworak (Puchaczów) p. 10
J. Lawendel (W-wa) p. 16 (s.z)
„Jotes" p. 10 (z,s)
W. Mokanek (Tarnopol) p. 17 (s)
J Tuszewski p. 13 (z,s)
M. i W. Folmanowie (W-wa) p. 13 (z,s)
H. Holder (Kołomyja) p. 3 (z,s)
Wł. Sztelman (Radom) p. 15
K. Achrem-Achremowicz (Iwieniec) p. 18.
Cz. Obołowicz (Żywiec) p. 6 (s)
L. Glaszmidt (W-wa) p. 12 (s,z)
J. Gajewski (Jarosław) p. 3
M. Lesiński (Włocławek) p. 14 (s)
A. Landau (Kraków) p. 13
A. Opatowski (Włocławek) p. 13
N. Grabowski (Wilno) p. 13 (z,s)
T. Korczowski (Sokołów-Podl.) p. 13
S. Deutsch (Kołomyja) p. 15 (z,s)
E. Opatowski (Włocławek) p. 13
D. Dienes (Śniatyn) p. 2
M. Rosenzweig (Włocławek) p. 15 (z,s)
M. Szadkowski (Skierniewice) p. 11
J. Safjan (W-wa) p. 12 (z,s)
J. Stukator (Lida) p. 10
K. Śliwa (Nowy-Sącz) p. 11
Wł Żebrowski (Skierniewice) p. 13
Leon Sądecki (Lublin) p. 21
M. Tyrakowski (Skoków) p. 8
A. Leziński (Włocławek) p. 14 (z,s)
M. Blumenkopf (W-wa) p. 8
Cz. Kozłowski (W-wa) p. 20
Sylw. Cziński (W-wa) p. 20 (z,s)
W. Warszawski (Białystok) p. 2

Wynik konkursu rozwiązań z Nr 4 b. r.

Leon Sądecki (Lublin) — punktów 21, I nagroda
W. Waryszewski (W-wa) — punktów 20 II nagroda (przez losowanie)
Sylw. Cziński (W-wa) — punktów 20, III nagroda (przez losowanie)
Cz. Kozłowski (W-wa) — punktów 20, IV nagroda (przez losowanie)
K. Achrem-Achremowicz (Iwieniec) p. 18, V nagroda
W. Mokanek (Tarnopol) punktów 17, VI nagroda (przez losowanie)

Z PISM i KSIĄŻEK

Żeromskiego. „ELEGJE“. Wydawn. Gebethnera i Wolffa. Troskliwa ręka Wacława Borowego wydobyła z zapomnianych przeważnie roczników czasopism, wydawnictw okolicznościowych, wreszcie ze szkiców rękopiśmiennych szereg utworów autora „Popiołów“. Wartość powyższego zbioru pism pomniejszych Żeromskiego polega na tem, że pozwala nam na bliższe wniknięcie w początkowe studja twórczości niezapomnianego pisarza, pozwala śledzić rozwój jego myśli i inwencji. Nieraz w ułamkowym fragmencie, w jednem zdaniu nawet, odbija się ta przepotężna indywidualność, moc słowa, błysk myśli, który później przetopiony został w dzieło o niepospolitym zasięgu twórczym. Niezależnie od tej, przedewszystkiem dla badaczy Żeromskiego, jako artysty, doniosłej wartości „Elegij“ książka ta ukazuje nam tego pisarza, jako czujnego i głęboko czującego obywatela, który każde wybitniejsze zjawisko w życiu narodowem ujmował w sposób gorący i pełen troski.

Claude Anet. NA AZJATYCKIM BRZEGU. Powieść. Wyd. „Bibljoteki Powieściowej“, W-wa, 1928.

Powieść pisana żywo i zajmująco uwydatnia znane dobrze zresztą zalety pióra Aneta— ekkość, bujną fantazję, plastyczność w odtwarzaniu postaci bohaterów, zawsze dowcipnych i dobrze wychowanych, choć niezawsze sympatycznych. Powieść nie przyniesie nowych laurów modnemu dziś pisarzowi, chociaż bezwątpienia cieszyć się będzie powodzeniem śród licznych jego czytelników a zwłaszcza czytelniczek. Tłumaczenie jak zwykle mistrzowskie.

Le Sueur. KREW W MROKACH. W-wa 1928. Wyd. „Bibljoteki Powieściowej“.

Powieść o niezwykle zawikanej fabule, nie zawsze prawdopodobnej, ale zajmującej i trzymającej czytelnika w stałem napięciu. Pisana z werwą iście francuską, stanowi dobrą lekturę dla czytelników, poszukujących w książce przyjemnej i kulturalnej rozrywki.

Jan Wolski. „SWÓJ DO SWEGO“, Nakładem Związku Spółdzielni Spożywców Rz. Pol., Warszawa-Mokotów 1928, str. 32. Cena 20 gr. (Z ilustrowaną okładką).

Jest to z talentem i dowcipem napisana powiastka o zmowie 2 kupców różnych wyznań w pewnem prowincjonalnem miasteczku przeciwko miejscowej spółdzielni spożywców. Żywość akcji, jaka się przed czytelnikiem rozgrywa i malowniczość, z jaką autor akcję tę przedstawił, sprawia, że książeczkę tę przeczyta z wielkiem zadowoleniem tak dziecko jak i dorosły, mężczyzna i kobieta; zwłaszcza dla tych szerokich rzesz członków spółdzielni spożywców, którzy jeszcze nie przywykli do lektury trudniejszych książek teoretycznych, powiastka J. Wolskiego jest doskonałym środkiem zachęcającym do należenia i trwania w wierności przy swojej spółdzielni.

Williamson. MIŁOŚĆ i SZPIEG. W-wa 1928 Wyd. „Bibljoteki Powieściowej“.

„Miłość i szpieg“ — gdyby taki temat nie miał zapewnić powodzenia, znaczyłoby to, że coś się zmieniło w upodobaniach naszej publiczności. Ale mimo pinkertonowskiego tytułu książka naprawdę interesująca, która będzie z zaciekawieniem i nie bez pożytku przeczytana przez szerokie koła czytelników. Za „literackość“ powieści ręczy zresztą już same nazwisko Williamsonów, znanych autorów angielskich, o poczytności których w Polsce świadczy wielka ilość przekładów.

„MIŁOŚĆ w ŻYCIU RUDOLFA VALENTINO“, W-wa, 1928. Wyd. „Bibljoteki Powieściowej“.

Przekład dobry, styl lekki i barwny, całość lekkostrawna, i — przyjmując pod uwagę popularność Valentina — powodzenie zapewnione.

TYDZIEŃ RADJOWY, ilustrowany tygodnik programowy, Poznań.

Nader pożyteczne czasopismo estetycznie wydawane, starannie redagowane. W części ogólnej znajdujemy artykuły, napisane zazwyczaj zajmująco i przystępnie, na przeróżne tematy, związane z radjem, jego postępem, stroną techniczną, wywiady, życiorysy, konkursy i t. d. Część programowa zawiera w każdym numerze szczegółowe programy wszystkich większych radjostacyj od Stambułu do Sztokholmu i od Lizbony do Moskwy. Czasopismo nawskroś współczesne, stojące na poziomie zachodnio-europejskim, i zasługujące na polecenie jak najszerszym rzeszom miłośników radja.

KATALOG PRASOWY „PARA“. Ukazał się czwarty rocznik katalogu prasowego Para, obejmujący wykaz wszystkich pism w Polsce oraz prasy polskiej poza granicami Rzeczypospolitej.

Poza materjałem statystycznym, katalog prasowy Para przynosi szczegółowe informacje o poszczególnych wydawn. perjodyczn. Centrala Para: Poznań, Al. Marcinkowskiego 11



J. Stępicki (Skierniewice). Rebus pański, z p wodu kilku niejasności ni n daje się do umieszczenia n ła ach „Mojego Przy aciela". Pr simy bądź o wyjaśnienia, bądź o pracę w nowem opracowaniu. Czekamy na odpowiedź.

Sylw. Cziński. (W—wa). Prz puszczamy, że numer lipc wy nie pr yno i p nu przykrej osobist j ni spodzianki, nieprawdaż? Zadania podane przez autorów obliczamy a ich orzyść według obok podanych punktów.

Za przeoczenie p zepr sz my.

M. Tyrakowski. (Skoków). Zadania bardzo ładne — l z niezbyt oryginalne. Zamieszczać będziemy stopniowo na łamach p sma. Nagrodę wysyłamy powtórnie. Prosimy o da sz współpra ę.

E. Opatowski. (Włocławek) Stanie się według p ńs i o życzeni .

L. Glaszmidt (W—w). Drobna omyłka wywoł ła ta ą burzę ni zadowolenia i... wrza y. Win o być we wszystkich wyp dkach 16, 16, 16 i 16.

A. Lesiński. (Wło ławek). Serdecznie dziękujemy za sympa yc ne słow pańskiego listu, ecz trudno... rodzico i wychowawcom należy p zyznać słuszność. Nauka — to rzecz pierwsza, rozryw a i zabawa—d piero po nie . Milsz bowiem być powinna poc wała szkolna od nagrody „Mojego Przyjaciela". S czę liwie min ł już rok szkolny i... rozpoczyna się dla p na niczem ni skr powane (jak przy uszcz my) lato.

W. Okołów. (Nowogr dek). Przypuszczamy, że w chwili czytania tych słów czyta Pan lub rozwiązuje zadania z Nr. 6, gdyż num r c erwcowy z stał już wysłany. Za łamigłówkę kratkową d iękujemy. Zamieścimy w niedalekiej przyszłości.

J. Jastrząb. (W—a). P zy hylamy się do życzenia i odpowiad my jeszcze w bieżącym nume ze. Zadanie konikowe winno mie wszystkie pola zajęte przez s laby... Niek óre z nadesł nych prac wydrukujemy.

J. Gajewski. (Jarosław). Lekc a stenografji była jedyn e pró na i nadesłana przez kursy stenograficzne jako z chęta do pracy w tej dziedzi ie.

Logogryf eograf czny zamieścimy.

Fr. Grochocki. (Łomża). Nagrodę wysył my. Niezmiernie cieszą nas prace pana. Jak to już znaczyli my dawniej, zdradzają one niezwykłe zdolności rysunkowe, doskonał , bardzo często swoiście oryginalną formę i pomysłowość. Wszystkie prace zamieśc my. zastrzegamy sobie jednak, jak to zresztą często czynimy, pewne możliwe zmiany.

J. Dworak (Puchaczów). Bardzo ładne rozwiązanie krzyżówki „Harpuna" ukaże się w następnym numerze „Mojego Przyjaciela".

L. Jasiński (Kutno). ..i my wyrażamy nadzieję, że przyszłośc nie przyniesie ze sobą zawodu i aby zapobiec temu nadmieniamy, że rozwiązania logogryfów winny być pełne a nie ograniczać się na jednej myśli czy zdaniu, jak np. „Adam Asnyk".

„Technik". Polecamy najbardziej solidne firmy G. Gerlach — Ossolińskich 4, oraz E. Neumanna — Mazowiecka 6. Z pism filatelistycznych polecamy: Ilustrowany Przegląd Filatelistyczny, w Torunin ul. Szczypna 12 (cena 2 zł. 50 gr.). Dla orjentacji podajemy jeszcze: w Krakowie: Filatelistę Polskiego ul. Bracka 9, oraz we Lwowie: Ilustrowany Kurjer Filatelistyczny, ul. Kurkowa 5 (1 zł:)

St. Goldberger (Nowy-Sącz). Z projektu skorzystamy w następnym numerze. Za pożyteczną radę serdecznie dziękujemy i przypuszczamy, że nie będzie pana brakowało w szeregach ubiegających się o nagrodę.

Antoni Stanisławski (Lubień—poczta Sulejów. Pow. Piotrków) życzy sobie prowadzi korespondencję z czytelnikami „Mojego Przyjaciela" pod powyższym adresem.

M. Palamarczuk (Brody). Prosimy o wysłanie obiecanego rozwiązania. Za krzyżówkę dziękujemy. Życzymy dalszej owocnej pracy.

W. Feister (Klewań). Dziękujemy za miłe nam słowa uznania i wyrażamy nadzieję, że nie odmówi Pan swej dalszej z nami współpracy.

Nelly „Mój Przyjaciel" przeprasza miłą Nelly za zbyt przydługi egzamin cierpliwości. Zaprawdę sympatyczny miły świergot nie zasługuje na takie postępowanie. Ta choroba gawędziarska nie jest ani zbyt dokuczliwa ani niebezpieczna, zdradza zaś nieprzeciętne zdolności do szczerego w ażenia swych uczuć a rozwiewa myśli o... starości.

„Sen—mara, Bóg—wiara", mówi przysłowie. Wiersz dość dobry. „Mój Przyjaciel" prosi o nadesłanie dalszych prac. A więc czekamy...

J. Kestin. Przykrość wyrządzona mimowolnie nie jest znów zbyt ...wielka, bo „wszystko dobre, co się dobrze kończy". Nieprawda?

P R O S P E K T

W połowie czerwca ukaże się pierwszy tomik nowego naszego wydawnictwa

P. N.:

„BIBLJOTEKA MOJEGO PRZYJACIELA”

Przystępujemy do wydania tej „Bibljoteki“, czyniąc zadość niejednokrotnie wyrażonym życzeniom czytelników, aby ten lub inny ciekawy temat, pobieżnie tylko poruszony w piśmie, został przez nas szerzej i dokładniej omówiony. Nie mogliśmy tego uczynić na łamach pisma ze względu na szczupłość miejsca, aczkolwiek w posiadaniu redakcji znajduje się znaczna ilość materjałów aktualnych, ciekawych i przytem niedrukowanych jeszcze w języku polskim.

Materjały te, opracowane w formie przystępnej i zajmującej, wejdą do naszej „Bibljoteki“, która obejmuje kilka cyklów: **podróżniczy, historyczny, beletrystyczny, popularno-naukowy, techniczny** i inne.

Zadaniem naszem jest dać czytelnikowi lekturę przedewszystkiem ciekawą i przystępną, a jednocześnie opartą na źródłach i aktualną.

Prenumerując „Bibljotekę Mojego Przyjaciela“, czytelnik w końcu roku znajdzie się w posiadaniu cennego zbioru, złożonego z 12 tomików, traktujących o **słynnych a niebezpiecznych podróżach,** wyświetlających pełne grozy i swoistego uroku **tajemnice historyczne,** poświęconych najnowszym epokowym **wynalazkom technicznym i naukowym** i wreszcie kilka tomików o treści **beletrystycznej,** zawierających **ciekawe powieści, nowele** i t. d.

Poniżej dajemy spis tytułów pierwszych numerów naszej „Bibljoteki“:

1. **Tajemnica jednej podróży**
   (Szczegóły — patrz w ogłoszeniu na ostatniej stronie okładki).

2. **Śmierć tyrana.** Jedna z najbardziej dramatycznych kart historji francuskiej zabójstwo Marata przez Charlottę Corday, odtworzone na podstawie nowych danych, rzucających ciekawe światło na główne postacie dramatu.

3. **Skarby Korsarza Kiddy** Zbiór nowel wybranych kilku autorów, wprowadzający nas w świat zjawisk dziwnych i często wywołujących zgrozę, ale mimo to naturalnych i na podłożu naukowem opartych.

4. **Cuda i tajemnice wielkiego kłamcy.** Kino współczesne można śmiało nazwać wielką fabryką złudzeń i miraży. Ale mało kto z tysięcznych tłumów widzów, zapełniających codzień sale kinowe, zdaje sobie sprawę, ile pomysłowości i talentu trzeba było, aby wykonać te nadzwyczajne tricki, które podziwia na ekranie. Książeczka nasza odsłania wszystkie te pomysłowe tajemnice reżyserów kinowych.

5. **W sercu Tybetu** Historja zmagań woli i odwagi ludzkiej z przeszkodami napozór nie do pokonania. Słynna podróżniczka angielska, David Neel, po pięciu nieudanych próbach, zdołała wreszcie w przebraniu tubylczem przeniknąć do Lhassy, „zabronionego miasta" Tybetu. Pamiętnik p. David Neel, który się ukazał w roku ubiegłym, wzbudził zrozumiałą sensację w całej Europie.

6. **Epoka wielkich awanturników** Figury słynnych kondotjerów odtworzone na tle romantycznej i bogatej w najfantastyczniejsze przygody epoki.

7. **Z ziemi na Mars i Wenerę**

Czy podróże międzyplanetarne są wogóle możliwe? Jeżeli zaś są możliwe, to przy jakich warunkach? Oto kwestje, dziś już zupełnie aktualne, na które odpowiedź czytelnik znajdzie w powyższej książeczce.

W spisie powyższym redakcja zastrzega sobie ewentualne zmiany.

Każdy tomik „Bibljoteki Mojego Przyjaciela" zawierać będzie od 2 do 3 arkuszy druku w wielobarwnej artystycznej okładce. Tekst wielu tomików zdobią liczne ilustracje.

Cena pojedyńczego numeru 50 groszy.

Dla prenumeratorów czasopisma „Mój Przyjaciel" prenumerata roczna (12 numerów) 5.40; półroczna (6 numerów) 2.70; kwart. (3 numery) 1.35. Za dostawę w Warszawie dolicza się porto 10 gr. od numeru.

REDAKCJA

„BIBLJOTEKI MOJEGO PRZYJACIELA"

CZYTAJCIE,
PRENUMERUJCIE
i ROZPOWSZECHNIAJCIE

„Bibljotekę Mojego Przyjaciela"

Kalendarz uczniowski ilustrowany

„Mój Przyjaciel"

NA ROK SZKOLNY

1928/29

(7 rok wydania)

ukaże się w końcu sierpnia b.r., jeszcze przed rozpoczęciem nauk szkolnych.

Załączony obok spis rzeczy kalendarza na nadchodzący rok szkolny, pozwala zorjentować się w bogatej **zawartości kalendarza, znacznie rozszerzonego i uzupełnionego,** a który między inn.

ZAWIERA:

1. Dział naukowy:

Skrót nauki o Polsce Współczesnej. — Literatura polska i obca. — Skrót gramatyki i składni łacińskiej. — Skrót gramatyki i składni francuskiej. — Skrót gramatyki i składni niemieckiej. — Dzieje ziemi. Państwa całego świata (ustrój polityczny, głowy państw, obszar, ludność, miasta, barwy i godła państwowe, jednostki monetarne i t. p.) z licznemi rycinami. — Uzupełnienie działu matematyki przez rozdział poświęcony wykresom i inn.

2. Dział „Higjena i Sport".

Informator wycieczkowy. — Palant. Piłka koszykowa i in.

3. Dział „Radjoamatora".

4. Dział „Fotograf-amatora".

5. Dział krajoznawczy.

6. Dział informacyjny:

Stowarzyszenia i związki młodzieży (kult.-oświat., sportowe i t. p.). Nowe ulice Warszawy. Adresy, telefony i t. p. dane, dotyczące zakładów naukowych, urzędów, instytucyj, stowarzyszeń, muzeów, bibljotek, teatrów i w. inn.

7. Dział „Varia".

Armje świata. Flota. Lotnictwo. Jak odróżnić rodzaje broni i szarże? Słownik najczęściej używanych skrótów, znaków i symboli. Wynalazki i odkrycia. Przewidywanie zjawisk przyrody. Alfabety: Morse'a, chorągiewkowy, dla głuchoniemych, niewidomych i in.

8. Przepisy praktyczne.

Uzupełnione zostały również działy: „Kalendarz" i „Notatki". Do kalendarza dodamy w tym roku m. in. 2 mapki (Polski i Warszawy).

Wydawnictwo kalendarza „Mój Przyjaciel" na rok szkolny 1928/29, drukując ograniczoną ilość egzemplarzy, postanowiło **pierwszeństwo w nabywaniu kalendarzy przyznać tym, którzy uiszczą należność w przedpłacie, jak również przyznać ulgę w cenie wszystkim nabywającym kalendarze w przedpłacie, t. zn. liczyć egz. po cenie zł. 3.25 w płóc. ozdobnej oprawie i w kart. zł. 2.75,** podczas gdy cena normalna wynosić będzie około zł. 4.

Administracja kalendarza „Mój Przyjaciel" rozpoczęła **już przyjmowanie** wpłaty na kalendarz „Moj. Przyj." na rok szkolny 1928/29.

ADMINISTRACJA
Kalendarza „Mój Przyjaciel"
Warszawa, Bielańska 5.
Konto-czek. 15-73.

RREMJE dla Czytelników „Mojego Przyjaciela“

Czytelnicy „Mojego Przyjaciela“, którzy uiszczą prenumeratę za jakikolwiek bądź okres czasu — otrzymują następujące premje, (względnie ulgowe warunki przy nabywaniu książek wyd. „Pomoc Szkolna“).

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na 1 kwartał, otrzymują z rabatem **50%**:

1) **Mały kalendarz „Mój Przyjaciel“** cena 75 gr.

2) **Almanach „Mój Przyjaciel“** tom I-szy cena zł. 2

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na pół roku, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. i 2. z rabatem **50%**

3) **Duży kalendarz „Mój Przyjaciel“**

Cena księgarska w oprawie tekturowej zł. 2.50;
w ozdobnej oprawie zł. 3.—

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na rok, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. 2. 3. z rabatem **50%**

4) **Almanach „Mój Przyjaciel“, t. II|III (rocznik 1927)**

Cena księgarska zł. 6.

Na koszty przesyłki należy załączyć:

za Mały Kalendarz „Mój Przyjaciel“ . . . . . . gr. 15
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom I . . . . . „ 35
za Duży Kalendarz „Mój Przyjaciel“ . . . . . . „ 35
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom II/III . . . . . „ 60

5) Prócz tego wszyscy prenumeratorzy pisma „Mój Przyjaciel“ korzystają przy kupnie książek wyd. „Pomoc Szkolna“ z rabatu **10%**.

Szczegółowy katalog wydawnictwa „Pomoc Szkolna“ wysyła się na żądanie bezpłatnie.

Administracja p. „Mój Przyjaciel“

Uwadze Sz. prenumeratorów!

We wszelkiej korespondencji z administracją ewent. redakcją, prosimy o powołanie się na numer prenumeraty umieszczony na banderoli lub korespondencji.

Administracja.

Z przyczyn technicznych ukazanie się zeszytu I „Bibljoteki Mojego Przyjaciela“ zostało opóźnione i nastąpi 15 lipca b. r.

Red. „Bibljetski Mojego Przyjaciela“

Odbito w drukarni „GRAFJA“ Warszawa.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

TREŚĆ NUMERU 7-go:

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL":
Prenumerata roczna zł. 6.60, półroczna — 3.30, — kwartalna 1.65, — miesięczna —.60
Za dostawę w Warszawie dolicza się porto 10 gr. od numeru.
Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str.—150 zł., 1/2 str.—80 zł., 1/4 str.—45 zł. 1/8—25 zł.:
na okładce cała str.—200 zł., 1/2 str.—110 zł., 1/4—60 zł., 1/8—35 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.

Do numeru niniejszego załączono katalog wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera.

Redaktor B. Petersilie — Wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera